

EGZEMPLARZ
BEZPŁATNY

WEŹ DO DOMU
I POCZYTAJ
W SPOKOJU

ISSN 2450-9655

nr 62

GRUDZIEŃ 2025

Wrocław



**NA RATUNEK
RATOWNIKOM**

**PŁATNOŚĆ
BIOMETRIA**

**WALCZĄC
O PRZYSZŁOŚĆ**

Wroclife nr 62

5/2025

grudzień 2025

ISSN 2450-9655

Wroclife sp. z o.o.
ul. Kwidzyńska 6e,
51-416 Wrocław
wroclife.pl



Okładka „Jarmark 2025”,
fot. Artur Heliak

Współpraca biznesowa
artur.heliak@wroclife.pl

Redakcja

Małgorzata Burnecka
Artur Heliak (wydawca)
Wojciech Czerniatowicz
Marek Misiak
Marcin Sawicz (rn)
Bartosz Senderek (z-ca rn)
redakcja@wroclife.pl

Korekta

Marta Zawadzka wellwritten.pl

Współpraca

Julia Lenar, Katarzyna Szakowska,
Nina Sawicz, Paweł J. Sochacki,
Marcin Szczęśny

Skład, łamanie, druk
uniq.media

Redakcja nie odpowiada za
treść ogłoszeń ani nie zwraca
materiałów niezamówionych.
Zastrzegamy sobie prawo do
skręcania i adiustacji tekstów
oraz zmiany ich tytułów.

4 Wycieczka na
każdą pogodę
Tu nigdy nie jest za zimno,
a przygoda gwarantowana!

6 Darmowe korty
do tenisa i padla
Dolny Śląsk szuka rewolucję:
elitarny sport bliżej ludzi

8 Autobusy dla
Wrocławia
Setka nowych pojazdów
wyjedzie na nasze ulice

12 Sztuka nie powinna
być świętem
O wielkich festiwalach
i dziurawych chodnikach
Rozmowa z Izabelą Duchnowską

20 Tradycyjne płat-
ności do lamusa?
Wrocławski start-up szuka się
na podbój światowego rynku
Rozmowa z Danielem Jarząbem

26 Wsparcie
innowacji to
odporność regionu
Parki technologiczne
i przedsiębiorcy łączą siły



30 Rekordowy rok złota

Po historycznie wysokich cenach czas na... dalszy wzrost

32 Miliony dla dolnośląskich gmin

Samorządy grają zespołowo i wygrywają

34 Nie ma jak w rodzinie

Zwyczajna-niezwyczajna codzienność oczami nastolatka
Rozmowa z Niną Bylicką-Karczewską

36 Na ratunek małym księgarniom

...przybywają Mieczysław Gorzka i przedostatni smok

38 Wszystkie stworzenia duże i małe

Kto pomoże tym, którzy pomagają?
Rozmowa z Katarzyną Szakowską

42 Od totalitaryzmu do wolności

Trudna droga Wrocławia przez lata przemocy i cenzury
Galeria Pojednania – część druga



WYCIECZKA NA KAŻDĄ POGODE I DLA KAŻDEJ SZKOŁY!

Chcecie zaplanować wycieczkę niezależną od kaprysów pogody, by mieć pewność, że spełni wasze oczekiwania? Obierzcie kierunek Aquapark Wrocław przy ulicy Borowskiej 99 – w samym sercu miasta.



Czeka na was aż dziesięć zjeżdżalni – znajdzie się coś dla każdego, i dla tych mniej odważnych, i dla szukających wrażeń. Do tego leniwa rzeka, zatoka dla dzieci czy basen z falami. Możecie też pysznie i zdrowo zjeść, zdobyć autograf oraz zdjęcie gwiazdy sportu, a także skorzystać z innych atrakcji wielokulturowego Wrocławia.

KARNET VIP W NAGRODĘ

Wrocławski Park Wodny jest ulubionym miejscem wypoczynku nie tylko wrocławian i Dolnoślązaków. To także sprawdzona destynacja wielu zagranicznych wycieczek i gości, między innymi z Niemiec, Czech, Słowacji czy Wielkiej Brytanii. Nic zatem dziwnego, że Aquapark Wrocław rokrocznie bije rekordy

popularności. We wrześniu to miejsce odwiedził dwumilionowy klient, a pojawił się o cztery tygodnie szybciej niż w roku poprzednim. W nagrodę otrzymał roczny karnet VIP.

Tajemnica sukcesu? To między innymi ciągłe udoskonalanie oferty. Wystarczy wspomnieć o zjeżdżalniach, które regularnie się zmieniają i zaskakują.

↑
Leniwa rzeka to atrakcja uwielbiana przez najmłodszych. Jej spokojny nurt wynosi śmiałków na zewnątrz nawet wtedy, gdy na dworze panują mrozy
fot. WPW SA

→
Dziecięca Zatoką to specjalna strefa stworzona z myślą o najmłodszych, która sprzyja nie tylko wspólnej zabawie, ale też prowadzeniu zajęć dydaktycznych w przyjaznym, bezpiecznym otoczeniu

fot. WPW SA

Najnowsza atrakcja to Speed Onion, czyli zjeżdżalnia pontonowa wyposażona w 37-metrowy wir nazywany cebulą. Ma aż 136 metrów długości i jest jedną z największych tego typu atrakcji w Polsce.

CACTUS, WATERMELON, WROC-LOVE...

Na nudę i monotonię narzekać nie można. Pozostałe ślizgawki to DuoRacer (od 150 centymetrów wzrostu), Cactus (od 120 centymetrów), Watermelon (od 120 centymetrów), BlueBerry (pontonowa, od 120 centymetrów), Lollipop (pontonowa, od 120 centymetrów), Wroc-Love (od 120 centymetrów), zjeżdżalnia rodzinna (od 4 lat), zjeżdżalnia dziecięca (dla dzieci poniżej 8. roku życia), a także Rybka znajdująca się na terenie Dziecięcej Zatoki i przeznaczona dla najmłodszych gości.

NIGDY NIE JEST ZIMNO!

Dziecięcych atrakcji jest znacznie więcej. Takich choćby jak leniwa rzeka, której nurt zabiera śmiałków na zewnątrz, a następnie z powrotem do budynku. Ale spokojnie, temperatura wody (32°C) zapewnia ciepłość ciała nawet pod chmurką i to w mroźne dni. Płynąc z prądem rzeki, można zwiedzić część Aquaparku. Nie ma też przeszkód, by dryfować z piankowymi makaronami, deskami do pływania lub na dmuchanym kole, a nieduża głębokość (70 centymetrów) zapewnia całkowite bezpieczeństwo.

Dzieci lubią też korzystać z jacuzzi, a w całym obiekcie są aż cztery takie miejsca. W każdym z nich znajduje się kilkanaście dysz wytwarzających bąbelki powietrza i dających uczucie przyjemnego hydromasażu. Już kilkuminutowa kąpiel wywołuje uśmiech na twarzach gości.



DZIECIĘCA ZATOKA

Ważną część Aquaparku Wrocław stanowi również Dziecięca Zatoka, czyli niecka przystosowana do celów dydaktycznych. To w tym miejscu najmłodszy uczestnicy nauki pływania czynią swoje pierwsze postępy. Warto wspomnieć, że tutejsza szkoła pływania to największe tego typu miejsce w regionie, a w dodatku słynie z niezwykle wysokiego poziomu nauczania. Niecka jest podzielona na dwie części – dydaktyczną z torami do pływania oraz brodzik ze zjeżdżalnią i ściennymi fontannami. Temperatura wody w tej strefie wynosi 32,5°C. Miło.

NA SYGNAŁ SŁONECZNEGO PATROLU

Sercem Aquaparku jest jednak basen z falami. Przestronny i bezpieczny stanowi nie lada gratkę dla miłośników prawdziwych morskich prądów. Fale pojawiają się co pół godziny, a sygnalizuje to muzyka z kultowego serialu *Słoneczny patrol*. Atrakcja trwa dziesięć minut.

SMAKOWITY DZIEŃ

AquaBar ma w swojej ofercie pełnowartościowe dania na ciepło, sałatki i owoce, z kolei w AquaCaffe królują wypiekane na miejscu świeże ciasta. To sprawia, że rodzice chętnie organizują tu swoim pociechom imprezy urodzinowe.

Dlaczego warto zdecydować się na wycieczkę akurat do Aquaparku Wrocław? Bo żadna pogoda jej nie storpeduje, a podobnych atrakcji nie doświadczysz nigdzie indziej. W dodatku zyskasz szansę, by spotkać wybitnego sportowca, wziąć od niego autograf, zrobić wspólne zdjęcie i porozmawiać. A to dzięki temu, że wiceprezesem Aquaparku jest Paweł Rańda, wioślarski wicemistrz olimpijski z Pekinu (2008 rok) w czwórce bez sternika wagi lekkiej. A jeśli zapomnisz czegoś z domu, nie martw się. Na miejscu możesz odwiedzić AquaShop z asortymentem strojów, sprzętu do zabaw w wodzie oraz miejskimi pamiątkami.

**WIĘCEJ INFORMACJI NA:
WWW.AQUAPARK.WROC.PL**

OGÓLNODOSTĘPNE, DARMOWE KORTY DO TENISA I PADLA

Tenis kojarzy się przede wszystkim z zamkniętymi klubami, wysokimi składkami i kortami ukrytymi za płotem, z Igą Świątek, Wimbledonem, Australian Open i Dubajem. Elitarny sport dla najbogatszych. Na Dolnym Śląsku właśnie następuje rewolucja – samorząd województwa rozpoczął budowę publicznych, ogólnodostępnych kortów, z których każdy będzie mógł korzystać bez opłat.



Pierwszy kompleks zaczął działać w Przewornie, ale to zaledwie początek. Nowy kierunek wyznacza program Dolnośląskie Parki Gry w Tenisa i Padla. To autorska inicjatywa samorządu województwa dolnośląskiego, która zakłada budowę sieci ogólnodostępnych kortów w małych i średnich miejscowościach. Projekt został zainicjowany w grudniu zeszłego roku, a już w czerwcu bieżącego roku rozdzielono pierwsze fundusze. W budżecie na 2025 rok zarezerwowano na ten cel pięć milionów złotych. W pierwszej edycji dofinansowanie otrzymały między

innymi gminy Udanin, Bielawa, Złotoryja, Lubań, Syców i Żórawina. Każda z nich zaplanowała budowę własnego, dostosowanego do potrzeb mieszkańców kompleksu.

Jako jedyni w Polsce podjęliśmy odważną decyzję o budowaniu publicznych, ogólnodostępnych kortów do gry w tenisa i padla – podkreśla wicemarszałek województwa dolnośląskiego Wojciech Bochnak. *Ambasadorem akcji jest najlepszy polski tenisista, wrocławianin Hubert Hurkacz* – dodaje. Znany na całym świecie zawodnik ma pomóc „odczarować” wizerunek tenisa jako sportu

dla wybranych i przyciągnąć na korty dzieci oraz młodzież z całego regionu.

PRZEWORNO

Symbolem nowego podejścia stała się gmina Przeworno, gdzie w listopadzie oddano do użytku pierwszy kompletny, publiczny kompleks do gry w tenisa i padla. Obiekt ma oświetlenie, odpowiednią nawierzchnię i zaplecze, które pozwala korzystać z niego zarówno w ramach zajęć szkolnych, jak i po prostu po pracy czy lekcjach. Wójt gminy podkreśla, że to inwestycja nie tylko w infrastrukturę, ale przede wszystkim

↑
Kompleks w Przewornie. Kort niebieski do padla, a ceglasty do tenisa ziemnego
fot. UMWD

→
Wicemarszałek
województwa
dolnośląskiego
Wojciech Bochnak
oraz wójt gminy
Przeworno
Jarosław Taranek
fot. UMWD

w zdrowie mieszkańców i atrakcyjność miejscowości.

W liczbach wygląda to tak: wartość całkowita inwestycji to 665 tysięcy złotych. Ponad połowę, 370 tysięcy złotych, stanowi dofinansowanie z zewnątrz – w tym 160 tysięcy złotych z budżetu województwa dolnośląskiego, 160 tysięcy złotych z Funduszu Rozwoju Kultury Fizycznej Ministerstwa Sportu oraz 50 tysięcy złotych z Funduszu Solidarnościowego Stowarzyszenia Aglomeracja Wrocławska. Resztę – około 295 tysięcy złotych – dołożyła gmina ze swojego budżetu – wyjaśnia Jarosław Taranek, wójt gminy Przeworno. Ten montaż finansowy dobrze pokazuje ideę programu: samorząd województwa uruchamia impuls, ale kluczowe pozostaje partnerstwo z gminami i innymi instytucjami.

Przeworno nie jest jednak sportową samotną wyspą. W Udaninie kort ma stać się przedłużeniem działań prowadzonych w lokalnej szkole i klubach sportowych. W Bielawie nowy obiekt wpisuje się w szerszą strategię miasta, które od lat stawia na aktywność fizyczną – od biegania po sporty wodne. Złotoryja, Lubań czy Syców liczą z kolei na to, że korty staną się miejscem integracji mieszkańców.

SPORT DLA KAŻDEGO

Dla regionu to również konkretna zmiana w filozofii polityki sportowej. Do tej pory główny nacisk kładziono często na duże inwestycje: stadiony, hale czy pływalnie. Program Dolnośląskie Parki Gry w Tenisa i Padla przenosi akcent na mniejszą, rozproszoną infrastrukturę, z której można korzystać na co dzień, blisko domu. *Chcemy, aby w każdym powiecie powstał przynajmniej jeden taki kompleks. To wielka zmiana w podejściu do polityki sportowej* – mówi wicemarszałek Bochnak.



Dla szkół to szansa na urozmaicenie lekcji wychowania fizycznego. Zamiast powtarzanych w kółko gier zespołowych uczniowie mogą poznać zasady tenisa czy padla, nauczyć się współpracy w parach, a przy okazji poćwiczyć koordynację ruchową i refleks. Dla lokalnych klubów – możliwość prowadzenia sekcji i szkółek w oparciu o infrastrukturę, na którą same nie mogłyby sobie pozwolić. Dla dorosłych – prosta forma ruchu po pracy, bez konieczności dojeżdżania do dużego miasta i płacenia za wynajem kortu.

W rozmowach z mieszkańcami gmin, które już otrzymały dofinansowanie, często pojawia się wątek zmiany mentalności. Tenisa i padla przestają być postrzegane jako coś elitarnego, „nie dla nas”. Nowe korty wyrastają obok boisk do piłki nożnej, placów zabaw czy siłowni zewnętrznych – stają się naturalnym elementem gminnego krajobrazu. To również sygnał, że małe miejscowości nie chcą być skazane wyłącznie na najprostsze formy aktywności fizycznej.

KUŹNIA MISTRZÓW

Twórcy programu liczą, że z czasem pojawią się także efekty sportowe. *Mamy nadzieję, że te korty wychowają przyszłych mistrzów, którzy swoje poczynania będą zaczynać właśnie tu, gdzie każdy ma równe szanse* – zaznacza wicemarszałek. Nawet jeśli nie każdy młody mieszkaniec Przeworna, Udanina czy Sycowa zostanie kolejnym Hubertem Hurkaczem, to już sam fakt aktywnego spędzania czasu i odrywania się od ekranów jest wartością.

Na razie Dolny Śląsk pozytywnie wyróżnia się w tej dziedzinie na mapie Polski. Samorząd wojewódzki nie ukrywa, że liczy na to, iż śladem dolnośląskich parków gry w tenisa i padla pójda inne regiony. Z punktu widzenia mieszkańca sprawa jest jednak znacznie prostsza: liczy się to, że obok domu powstaje miejsce, gdzie można wziąć raketę do ręki, spotkać znajomych i po prostu pograć. Bez przepustek, progów finansowych i poczucia, że to sport z innego świata.

Joanna Brzoz

AUTOBUSY DLA MIASTA. JAK WROCŁAW BĘDZIE JEŹDZIŁ W 2027 ROKU?

Na co dzień myślimy o nich głównie wtedy, gdy znów uciekają nam sprzed nosa. Ale to właśnie autobusy – obok tramwajów – są krwiobiegiem Wrocławia. W 2027 roku po mieście zaczną kursować setka fabrycznie nowych pojazdów, które mają odmłodzić flotę MPK i znacząco podnieść komfort dojazdu tysiącom wrocławian. Nowoczesny tabor to nie tylko wygoda, ale też mniej awarii, a w konsekwencji mniej opóźnień.



MPK
WROCŁAW

←

Umowę na dzierżawę nowych autobusów dla Wrocławia podpisano w październiku. Pierwsze pojazdy w ramach tego kontraktu pojawią się na ulicach wiosną 2027 roku

fot. MPK SA

Umowę na dzierżawę autobusów podpisano 23 października na Stadionie Olimpijskim. Miasto i MPK Wrocław związały się na dziesięć lat z konsorcjum Daimler Buses Polska i Pekao Leasing. Kontrakt opiewa na ponad 302 miliony złotych.

Pierwsze pojazdy mają pojawić się we Wrocławiu do 7 kwietnia 2027 roku, kolejne – do 7 czerwca tego samego roku.

Nowoczesny transport publiczny to fundament dobrze funkcjonującego miasta. I my to we Wrocławiu wiemy – podkreśla prezydent Jacek Sutryk. I trudno

się z nim nie zgodzić, gdy spojrzysz na liczby. Od 2019 roku na modernizację taboru szynowego miasto wydało już 913 milionów złotych, a program TORywolucja – szeroko zakrojona wymiana i naprawa torowisk – pochłonął 438 milionów złotych. W tle trwają też

inwestycje w pojazdy elektryczne i przygotowania do technologii wodorowych.

DWIEŚCIE POJAZDÓW W DWÓCH ETAPACH

Nowy kontrakt to kontynuacja największego w Polsce przetargu na dzierżawę miejskich autobusów, ogłoszonego w sierpniu 2024 roku. W sumie daje to 200 pojazdów mających zapewnić Wro-

śławowi spokojne funkcjonowanie komunikacji w czasie przejściowym – między dzisiejszą flotą a zeroemisyjnymi autobusami jutra.

systemu – wyjaśnia prezes MPK Wrocław Witold Woźny. *Pozyskujemy nie tylko autobusy, ale i wiedzę, bo równie ważni jak pojazdy są ludzie, którzy je obsługują* – dodaje. W praktyce oznacza to, że wraz z nowym taborem miasto inwestuje też w kompetencje kierowców i rozwój zaplecza technicznego.

Autobusy mające zasilić szeregi MPK Wrocław nie będą jednorodne. Do mia-

mniej gimnastyki przy wsiadaniu, więcej powietrza w środku i możliwość doładowania telefonu, gdy akurat w drodze kończy się bateria.

ZASOBY LUDZKIE

Kuliszy kontraktu to nie tylko liczby i daty. To także ludzie, którzy będą odpowiadać za to, żeby każdy poranny i wieczorny kurs odbył się bez niespo-

→
W ramach kontraktu
do Wrocławia mają
trafić 42 autobusy
typu solo oraz
58 przegubowych
fot. MPK SA



clawowi spokojne funkcjonowanie komunikacji w czasie przejściowym – między dzisiejszą flotą a zeroemisyjnymi autobusami jutra.

Przyszłość należy do napędów zeroemisyjnych, ale dziś musimy przede wszystkim zagwarantować sprawność

sta trafią 42 mniejsze pojazdy typu solo i 58 przegubowców na najbardziej obciążone linie. Wszystkie niskopodłogowe, klimatyzowane, z rozbudowanym systemem informacji pasażerskiej, monitoringiem i ładowarkami USB przy siedzeniach. Dla pasażerów oznacza to

dzianek. Umowa zakłada szkolenia dla kierowców i pracowników technicznych. Załoga MPK ma poznać zaawansowane systemy bezpieczeństwa, rozwiązania ułatwiające ekonomiczną jazdę, a także funkcje, których pasażerowie nawet nie widzą, a które wpływają



na komfort całej podróży. *Miasto rośnie, a wraz z nim rosną oczekiwania pasażerów. Nie możemy sobie pozwolić na kompromisy jakościowe* – mówi wiceprezes MPK Przemysław Nowicki. *Dlatego stawiamy na fabrycznie nowe pojazdy oraz rozwój kompetencji naszej załogi. To jedno z kluczowych narzędzi, które pozwala nam dbać o bezpieczeństwo i niezawodność przewozów* – dodaje.

Choć 100 nowych autobusów będzie napędzanych konwencjonalnie, w miejskiej strategii mają one wyrażnie charakter pomostowy. Zanim Wrocław przesiądzie się w całości na pojazdy elektryczne i wodorowe, potrzebuje stabilnej floty, która uniesie codzienny

ruch i pozwoli w spokoju rozbudować infrastrukturę dla nowoczesnych technologii. Dzierżawa zamiast zakupu to także mniejsze ryzyko w czasach szybko zmieniających się rozwiązań technicznych.

Nowe autobusy wpisują się w szerszy plan odmładzania komunikacji miejskiej. W ostatnich miesiącach MPK Wrocław znacząco odświeżyło flotę dzięki środkom zewnętrznym – ponad 600 milionów złotych pochodzi między innymi z Krajowego Planu Odbudowy i programu FENIKS. Do miasta już trafia lub wkrótce trafi między innymi 21 elektrycznych Mercedesów eCitaro, 7 Solarisów Urbino 12, też elektrycznych,

16 tramwajów Pesa 146N oraz 19 odnowionych Skód 19T. Równolegle modernizowane są torowiska, zaplecze techniczne i przygotowywana jest budowa zajezdni tramwajowej na Nowych Żernikach.

JAKOŚĆ ŻYCIA

Wszystkie te inwestycje łączy jeden wspólny cel: poprawa jakości życia w mieście. Wrocławski transport publiczny ma być cichy, ekologiczny, dostępny i bezpieczny – również dla ludzi starszych, rodziców z dziećmi czy osób z niepełnosprawnościami. Infrastruktura komunikacyjna nowej generacji to ważny element układanki, ale bez wykwalifikowanych kierowców, serwisantów i dyspozytorów cały system nie zadziała. *Nowoczesny tabor to jedno, ale równie ważni są specjaliści, którzy go obsługują – inwestujemy więc w technologię i w ludzi* – mówi prezes Woźny.

Wrocławski transport publiczny ma być – jak podkreślają władze miasta – cichy, ekologiczny, dostępny i bezpieczny. To oznacza nie tylko wymianę pojazdów, lecz także inwestycję w ludzi. Szkolenia kierowców i serwisantów, obsługa nowych systemów bezpieczeństwa, przygotowanie do technologii elektrycznych i wodorowych – wszystko to staje się częścią codzienności MPK.

Nowych autobusów wrocławianie mogą spodziewać się na ulicach już w 2027 roku. Nie będą jeszcze elektryczne, ale staną się ważnym mostem między dzisiejszym systemem a tym, który w kolejnych latach ma być jeszcze bardziej zielony, bezemisyjny i przyjazny mieszkańcom. A dla pasażerów liczyć się będzie przede wszystkim to, że na przystanki częściej przyjadą nowe, wygodne autobusy ze zwiększoną punktualnością.

←

Ostatni kontrakt wpisuje się w szerszy trend wymiany taboru autobusowego i tramwajowego we Wrocławiu
fot. MPK SA



Politechnika Wrocławska



lemprize.pwr.edu.pl



Prof. **Li Tang**

z École Polytechnique Fédérale
de Lausanne (EPFL)

**laureatem Europejskiej
Nagrody Naukowej
im. Stanisława Lema
za rok 2025**

Doceniony za
„Zmianę paradygmatu
w immunoterapii nowotworów:
wykorzystanie oporności typu drugiego
do opracowania łatwo dostępnej terapii”

**Naukowiec i jego zespół dokonali przełomowego
odkrycia związanego z działaniem układu
odpornościowego w walce z nowotworami**

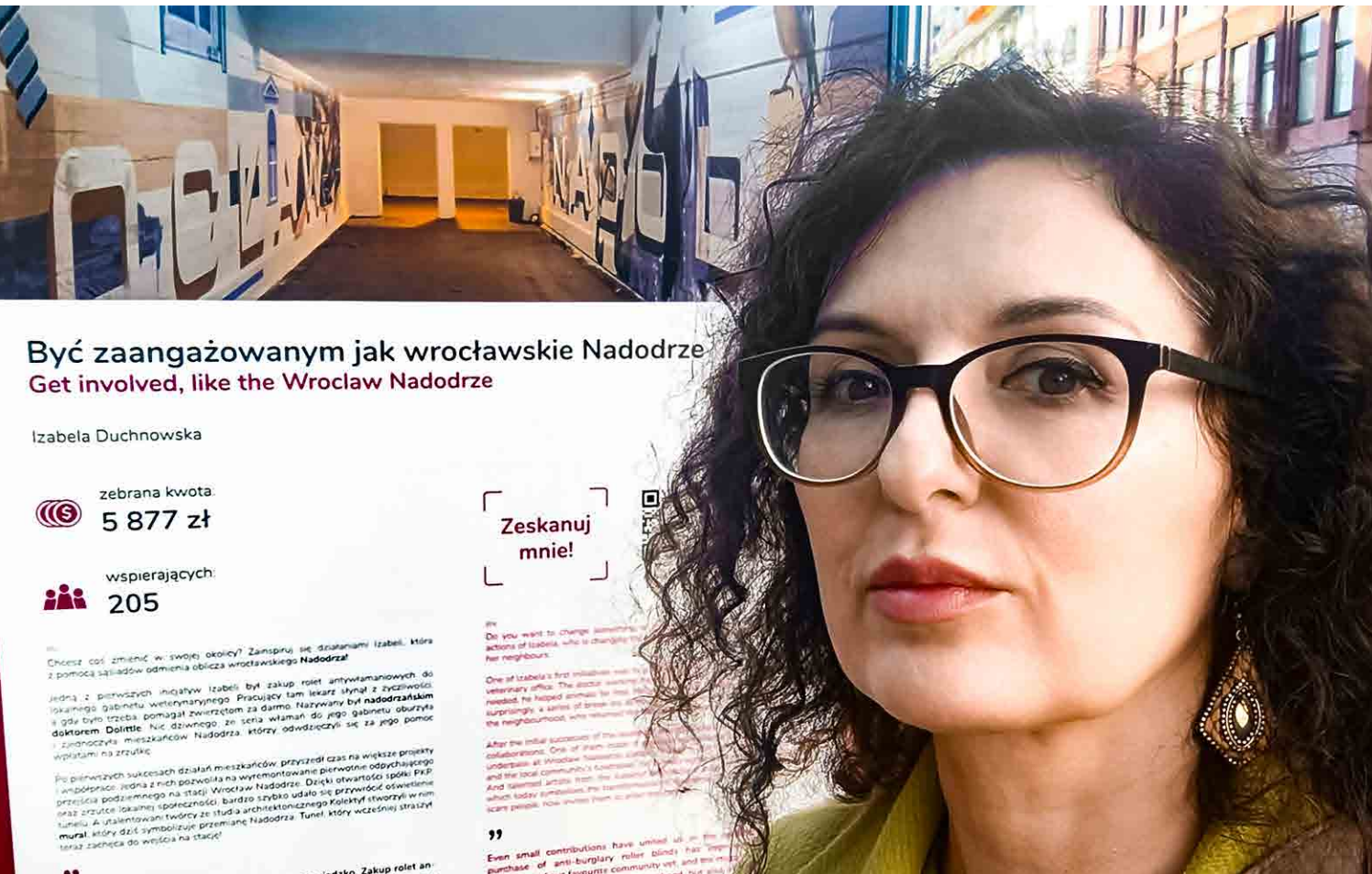
Lem Prize ufundowana dla upamiętnienia 100. rocznicy urodzin wybitnego polskiego pisarza i wizjonera Stanisława Lema, doktora honoris causa Politechniki Wrocławskiej z 1981 r. Nagroda jest adresowana do młodych naukowców poniżej 40. roku życia. Przyznaje ją międzynarodowa kapituła, której przewodniczy prof. Maciej Lewenstein z Instytutu Fotoniki w Barcelonie (ICFO).

Partnerzy nagrody:



SZTUKA NIE POWINNA BYĆ ŚWIĘTEM, ALE CODZIENNOŚCIĄ

Na środku salonu stoi fortepian, a mieszkanie przypomina kameralną galerię sztuki. Proza życia przeplata się tu z artystycznym klimatem. Ten miks cechuje większość działań, których podejmuje się Izabela Duchnowska.



←

Izabela Duchnowska
menedżerka kultury i aktywistka społeczna. Absolwentka Akademii Muzycznej we Wrocławiu, Studium Prawa Europejskiego (specjalizacja: zarządzanie kulturą). Przez dekadę związana z Wydziałem Kultury Urzędu Miejskiego Wrocławia, autorka raportu o placach w kulturze, organizatorka wielu inicjatyw kulturalnych i społecznych, wicedyrektorka Teatru Polskiego we Wrocławiu. Od 2021 roku jest radną Rady Osiedla Nadodrze, obecnie Wiceprzewodniczącą Zarządu
fot. archiwum prywatne

Jaką część twojego życia zajmuje dzisiaj sztuka?

Od lat bez zmian, czyli większość mojego czasu. Dla wielu może to wydawać się dziwne, ale żyję nią od zawsze. Już w szkole, na studiach zajmowałam się kulturą, tworzeniem jej, organizowaniem, wymyślaniem. I to się nie

zmieniło, bo działalność społeczna, z której być może jestem bardziej niektórym znana, stanowi dodatek do mojego życia, a zawodowo niezmiennie są to kultura i sztuka. Lubię pracować w taki sposób, by się spełniać, mam poczucie misji. Od wielu lat zajmuję się promocją i tworzeniem kultury

współczesnej, żyjącymi artystami, artystkami, choćby w cyklu „Sztuka to kobieta”, promując młode twórczynie, często jeszcze studentki ASP.

Czyli co konkretnie?

Z jednej strony jest to od kilkunastu lat kultura oddolna, czyli współpraca ze

→ *Nadodrże to centralne, gęsto zaludnione wrocławskie osiedle, na którego terenie znajduje się m.in. Kępa Mieszkańska oraz ważne obiekty miejskie, takie jak dworzec Wrocław Nadodrże czy zajezdnia tramwajowa na Słowiańskiej. Jedną z najciekawszych atrakcji są tutaj tutejsze „kolorowe podwórka”, stworzone wspólnie przez mieszkańców i artystów, które stały się symbolem lokalnej kreatywności*

fot. geoportal.wroclaw.pl

społecznościami sąsiedzkimi, na przykład we Wrocławiu kultura osiedli, taka bliska mieszkańców. Przez ostatnie lata działałam też na Dolnym Śląsku, tworząc projekty skierowane do społeczności lokalnych, i tam przynosiłam, jak byśmy to kiedyś nazwali, sztukę wysoką – koncerty muzyki poważnej w najlepszych wykonaniach, spektakle, ale też performanse. To od wielu lat sprawia mi ogromną radość, a jest w tym także rodzaj działania edukacyjnego, bo przynoszę sztukę i kulturę do osób, które nie zawsze się nimi interesują, nie mają do nich dostępu albo nie wiedzą, że go mają.

I w miejsca inne niż byśmy się spodziewali?

■ Takie nieoczywiste. Będąc w tym zawodzie wiele lat, miałam okazję organizować wielkie wydarzenia w największych salach koncertowych, czy to we Wrocławiu, czy w innych miastach. Od tego zaczynałam.

Jakie to były wydarzenia?

■ Między innymi Polonika Nowa, Festiwal Muzyki Elektronika Nowa, Światowe Dni Muzyki. Było tego bardzo dużo, do tego współpracowałam z wieloma artystami. I to jest to, z czego znają mnie ci, którzy są w branży tak naprawdę. Cieszę się z tych współprac, bo nie ukrywam, że później przy organizowaniu wydarzeń lokalnych bez wahania wykorzystywałam te relacje.

To jak przeszedłaś do tych lokalnych?

■ Odkryłam, że działania na dużą skalę po prostu nie przynoszą mi... satysfakcji. Te wielkie sale, wielkie sceny nie spełniły moich oczekiwań. Wszystko zależy od tego, czego się szuka. Ja potrzebowałam kilkanaście lat temu zmiany w moim życiu: bezpośredniego dostępu do ludzi, prawdziwego kontaktu z nimi.



A stąd już tylko krok do rady osiedla?

■ Tak, działalność osiedlowa czy aktywność zaczęła się od mojego dyskomfortu w związku z kulturą. Bardzo lubię czytać książki. Naprawdę, jestem maniaczką czytania. Najbardziej kocham poezję, ale generalnie czytam dużo, a nie mam na to za wiele czasu. Nie lubię audiobooków i jeśli jakaś książka mnie wciągnęła, to brałam ją ze sobą wszędzie, także na drogę do pracy. Po prostu czytałam, idąc chodnikiem.

I szybko się okazało, że nadodrzańskie chodniki są bardzo krzywe?

■ Nie da się czytać, idąc! Tak wyglądała proza mojego życia. Chodziłam Chrobrego, Pomorską, Rydygiera, tymi sąsiedzkimi uliczkami i nie byłam w stanie czytać. W pewnym momencie tak już mnie to zdenerwowało... Myślę: „Niemożliwe, po prostu nie da rady, jak ja mam tu funkcjonować? Przecież nie mogę czytać!”. Od tego się zaczęło. Dodatkowo bardzo nie lubiłam pewnego całodobowego sklepu

monopolowego w mojej najbliższej okolicy, gdzie właściciele za nic mieli prośby i uwagi mieszkańców.

Próbowaliście interweniować?

■ Jako sąsiedzi wzywaliśmy policję tyśiące razy. Wtedy jeszcze nie byłam w radzie osiedla. Funkcjonowała ona wówczas w zupełnie innym składzie, udawała, że petycje mieszkańców nie istnieją. Miasto też sprawiało wrażenie, że nie dostaje od nas żadnych pism.

I postanowiłaś się zaangażować?

■ Z takiej wewnętrznej potrzeby stwierdziłam, że chcę się włączyć w działalność lokalną. Najpierw związaną oczywiście z tymi nierównymi chodnikami, z tymi beznadziejnymi, dziurawymi ulicami – tak jak wtedy Pomorska. Czy z tym, że nie ma żadnej reprezentacji takich mieszkańców, którym przeszkadza codzienna nocna impreza pod oknem. Dostrzegłam, że kontakt z sąsiadem jest dla mnie cenniejszy niż

kontakt właśnie z taką sztuką wysoką, czyli z wielką salą koncertową, znaną orkiestrą, gwiazdami i tak dalej. Sąsiedzkie relacje mają zupełnie inny wymiar i postanowiłam, te lata temu, wszystko przewartościować.

Nie tęsknisz?

Przy okazji wielkich imprez można oczywiście spotkać wspaniałych ludzi, wielkich artystów, jednak jest to zupełnie inny kontakt, inna relacja, raczej formalna, bardziej anonimowa. W kulturze lokalnej, sąsiedzkiej nie chodzi o to, żeby podejść do kogoś albo ktoś podchodził do ciebie i mówił: „Jaki świetny koncert!”. Nie, zupełnie nie.

CHODZI O CODZIENNOŚĆ. ONA JEST NAJBARDZIEJ WARTOŚCIOWA, NIESIE ZE SOBĄ NAJWIĘCEJ EMOCJI.

Kiedy zrobiłam koncert na podwórku na Nadodrze, pamiętam dokładnie tę sytuację: sąsiadka, której nie znałam, zostawiła mi pod drzwiami wielkie pudło z przepiękną przedwojenną zastawą i powiedziała, że to był najpiękniejszy koncert, w jakim w życiu uczestniczyła.

W takich momentach serce bije mocniej.

To są szczególne gesty, rozmowy. Po tem już z tą sąsiadką się znałyśmy, kojarzyłyśmy. Ona już nie żyje, ale wspomnienie pozostaje. I to jest ta relacja, której szukam. Nie oczekuję, że każdy będzie dziękować. Chodzi o zupełnie inny przekaz. Właśnie takich emocji mi brakowało. Zatem poszłam w tą lokalność, jednocześnie zmieniając całe swoje życie. Po dziesięciu latach pracy w urzędzie stwierdziłam, że moja misja urzędniczeki zajmującej się kulturą absolutnie się zakończyła. Dało mi to bardzo cenne

doświadczenia, bo jednak praca w urzędzie ma swoją specyfikę i uczy biurokracji, dyscypliny administracji, co nie jest ani łatwe, ani oczywiste.

Wtedy założyłaś hostel?

Tak, hostel artystyczny, który okazał się strzałem w dziesiątkę. Był wtedy niszą na rynku, zaprosiłam do współpracy artystów, to tam organizowałam raz w miesiącu wernisaże, koncerty na podwórkach. Przynosiło mi to naprawdę wielką radość. Nie ukrywam, że istotne były też kwestie finansowe, bo urzędy – nie wiem, jak teraz, ale wtedy nie płaciły najlepiej. Więc prowadzenie własnej działalności pozwoliło mi na mocną niezależność budżetową. Musiałam niestety zrezygnować z tego jako radna miejska, ponieważ pomieszczenia hostelu wynajmowałam od gminy, a radny miejski nie może prowadzić działalności w mieście gminnym. Kulturą dalej się zajmowałam, dalej współpracowałam z różnymi artystami, ale działalność gospodarczą trzeba było zamknąć.

Prowadziłaś go tu, po sąsiedzku?

Mieszkałam na Nadodrze od wielu lat, ale w mieszkaniu, które było zbyt duże. W pewnym momencie poczułam, że potrzebuję większej przestrzeni, kupiłam sobie takie lokum i w nim zaczęłam urządzać regularnie wernisaże i koncerty. Występowali u mnie zaprzyjaźnieni wrocławscy artyści. Tutaj zaczął się cykl jazztopadowych koncertów w mieszkaniach, kontynuowany zresztą do dziś. I to jest cudowne, kiedy przychodzi tyle osób, których tak naprawdę nie znam. I potem spędzamy kilka wspaniałych godzin nie tylko na koncercie, ale szczególnie po nim – takie afterki potrafią trwać bardzo długo. I właśnie wtedy poznaje się

superfajnych, ciekawych ludzi. To jest odważny projekt, bo zapraszasz zupełnie nieznane ci osoby do swojej najintymniejszej przestrzeni, do swojego mieszkania, do swojego domu.

Teraz jedno wydarzenie w roku, a kiedyś?

Intensywność była ogromna, co dwa, trzy miesiące robiłam koncert i wernisaż, wymieniałam przy tym absolutnie cały wystrój mieszkania, wieszałam inne obrazy, instalowałam różne obiekty. Zapraszałam do przestrzeni całego domu. Wtedy moje dzieci były małe i jakoś udawało się funkcjonować rodzinie. Natomiast w pewnym momencie, kiedy córki trochę podrosły, zaczęło być to dla nich problematyczne. Dla mnie zupełnie nie. Ja jestem bardzo otwartą osobą, nie mam nic do ukrycia. Na ogół niewiele rzeczy mi przeszkadza, ale faktycznie zaczęło to trochę przeszkadzać moim dzieciom i stwierdziłam, że czas ograniczyć przestrzeń dostępną w trakcie wydarzeń. Na szczęście mieszkanie jest duże. To był pierwszy krok, a potem zmniejszyłam częstotliwość.

Aż urodził się pomysł na coś nowego?

Doszłam do wniosku, że jeżeli chcę zapraszać do swojej przestrzeni na wydarzenie szeroko rozumianą grupę sąsiadów, to muszę się wyprowadzić z tym z domu, po prostu. Najpierw szukałam miejsca typowo pod kulturę, które byłoby galerią, małą salą koncertową. Ale okazało się, że to nie takie łatwe. Poza tym ja, mimo że zajmuję się kulturą i sztuką, jestem bardzo pragmatyczna, czyli twardo stoję na ziemi, mam w głowie kalkulator i natychmiast sobie policzyłam: „No dobrze, w mieszkaniu, gdzie i tak płacę czynsz, to jedno, ale jak wyjdę na zewnątrz, to tam będzie dodatkowy czynsz...”.



**JUŻ
W SPRZEDAŻY**



0 RAT PRZECZ 12 MIESIĘCY*

*Tylko dla klientów Archicom, z PKO BP.

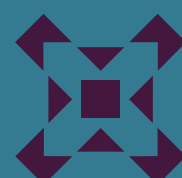
MOSAICO.

Mieszkania na start.

Nowy adres na Szczepinie.

☎ 71 785 88 16

mosaico.archicom.pl





Trzeba będzie na to zarobić.

☛ Zaczęłam więc szukać pomysłu, jak to połączyć biznesowo. Żeby z jednej strony zarabiać na tym miejscu, a z drugiej strony, żeby dalej tą kulturą się zajmować. I stąd pomysł na wynajęcie całego budynku od gminy po to, by tam zrobić hostel artystyczny. Do wystroju pokoi zaprosiłam naprawdę znane osoby, fantastycznych artystów. Jurek Koszałka zrobił jeden z nich, Fabien Lede,

Boris Sirka, Paweł Jarocki – każdy z nich urządził tam pomieszczenie wedle własnej koncepcji. Te pokoje były absolutnie wyjątkowe, niesamowite, przepiękne, z historią artystyczną. Dzieła sztuki same w sobie. Do hostelu przyjeżdżały media z całego świata, żeby zobaczyć ten concept, jak to działa, żeby pokazywać dalej te arcydzieła, które powstały. Natomiast moją ideą i tym punktem wyjścia było właśnie robienie wernisaży

i koncertów, spektakli, wydarzeń artystycznych. Finansowałam to zawsze z własnej kieszeni, czyli z przychodów hostelu. Zamiast kupić sobie samochód, wołałam zrobić wernisaż.

Każdy wydaje na to, co kocha.

☛ Przynosiło mi to ogromną satysfakcję. To, że jestem niezależna finansowo, to, że bez pomocy z zewnątrz mogłam prowadzić taki trochę osiedlowy dom kultury.

Teraz to się nazywa Centrum Aktywności Lokalnej.

☛ I to było takie prywatne centrum aktywności lokalnej, finansowane z uzyskiwanych przeze mnie przychodów. Świetny concept, który trwał dziewięć lat, ale też się zamknął i dopełnił.

Przyszł czas na kolejny etap?

☛ Nie żałuję tego, co było. Nauczyło mnie to wiele, w trakcie prowadzenia hostelu, niezależnie od tych wernisaży, które tam robiłam, cały czas zajmowałam się kulturą. Reprezentowałam różnych artystów jako menedżerka kultury, cały czas brałam zlecenia związane z organizacją wydarzeń. Więc tutaj zawodowo niewiele się zmieniło, oprócz tego, że miałam nowe doświadczenie, przy tym dobre finansowo, muszę przyznać. A równocześnie to był ten moment, kiedy chodziłam tymi chodnikami... Przede wszystkim zobaczyłam, że ta kultura nie powinna być świętem, ale po prostu codziennością. I to stanowi jakby *clou* wszystkiego, co robię. Ta codzienność jest najważniejsza. I stąd zaczęła się moja przygoda z osiedlami.

Jak widzisz tą kulturę powszednią? Jak w takim idealnym dla ciebie świecie mogłoby to wyglądać?

☛ Przytoczę ci anegdotę. Właśnie tam,

←

Od 2024 roku Izabela Duchnowska jest Radną Miejską Wrocławia, pracuje w komisjach: Kultury i Nauki; Promocji i Współpracy z Zagranicą; Zdrowia, Spraw Społecznych i Równego Traktowania. Jej misją jest wzmacnianie roli kultury lokalnej, aktywne zaangażowanie społeczności i budowanie otwartego, inkluzywnego Wrocławia – często podkreśla hasło „#DaSię”
fot. Łukasz Rajchert

w hostelu, razem z Magazynem Materiałów Literackich „Cegła” przygotowaliśmy jeden z pokoi. Czyli jeden z nich stał się którymś z numerów magazynu i temu towarzyszyła wystawa, którą objęty był cały hostel. „Cegła” ma przeróżne wydania fizyczne i jeden z wcześniejszych numerów miał postać cytatów ze znanych dzieł klasyków: Mickiewicza, Fredry, Witkacego czy Norwida. Magazyn został wydany jako magnesy na samochody i naklejki na rowery, nazywało się to AutoBook. Taki magnes można było przykleić do samochodu czy lodówki. Ta forma fizyczna, czyli koncepcja, że cytaty największych pisarzy i poetów przykleja się na swój pojazd, którym później się jeździ, wydawała mi się niesamowicie kreatywna, niosąca ten kaganek w świat, niosąca sztukę, wychodząca poza ramy.

Intrygująca koncepcja.

— Mieliśmy wernisaż i okleiałam cały mój samochód tymi cytatami, zaparkowałam go przed hotelem na podwórku. Rano, gdy przyszłam, nie było ani jednego magnesu. I najpierw oczywiście taka myśl: „Nie no, po prostu ukradli”, a potem... Zaraz... Ale to jest przezwspaniałe, że ludzie wzięli sobie te cytaty i teraz one są na ich samochodach i ich lodówkach. I przez cały tydzień codziennie oklejałam auto tymi magnesami i zostawiałam je tam. Każdego ranka nie zostawał ani jeden. Po tygodniu rynek sąsiedzki się nasycił, cytaty zostały. Czyli wszyscy sąsiedzi lub jakieś osoby, które widziały ten samochód, brały sobie te magnesy. I nie sądzę, żeby je wyrzucali. Po prostu przykleili je na swoich lodówkach, autach, rowerach. I to był właśnie taki projekt, który najlepiej oddaje dotarcie do codziennej społeczności. Te zwspaniałe cytaty polskich pisarzy zawędrowały

do co najmniej kilkuset osób. No i teraz wyobraź sobie, że 700 mieszkańców Nadodrza ma je na swoich lodówkach. Bardzo naturalnie społeczność wchłonęła tę kulturę.

Świadomie szukasz nietypowych pomysłów?

— Absolutnie tak! Zdarzają się takie genialne przebrnięcia. Z Karolem Pęcherzem wiele razy wspominaliśmy tę sytuację i on też nie przewidywał skali oddziaływania. To jest dla mnie kwintesencja docierania ze sztuką i kulturą do mieszkańców. Nie tylko stawiamy scenę, zespół i robimy koncert czy spektakl, ale szukamy różnych, czasem zupełnie nietypowych sposobów dotarcia do ludzi. Rok temu odbył się w Warszawie duży Kongres Kultury, gdzie pokazano wyniki szerokiego badania o tym, jak Polacy obcuja z kulturą. I okazało się, że grupą społeczną, która procentowo ma dziś największy dostęp do kultury, są dzieci i młodzież. Wszyscy reagują: „Jak to młodzież, przecież oni nigdzie nie chodzą!”. A po prostu w badaniu uwzględniono kulturę cyfrową: gry komputerowe i platformy streamingowe. My też musimy tak do tego podchodzić – krótkie filmiki na TikToku czy Instagramie to część współczesnej kultury. Facebook jest, mam wrażenie, dla trochę starszych, takich jak ja. Do tego dochodzi ulica – dwa skrajne kanały, które powinniśmy wykorzystywać. Jeśli ktoś obejrzy na TikToku filmik kanału Live Aid Polski albo Ubierz się w Teatr, prowadzonego świetnym, nowoczesnym językiem młodych, to jest szansa, że później przyjdzie do teatru. Ci, którzy powiesili sobie te magnesy, być może pojawią się potem na Nocy Literatury – widzieć tam przecież tłumy. Nie twierdzę, że to dokładnie te same osoby, ale taka szansa istnieje.

Intermodalność i przenikanie przez różne warstwy komunikacji...

— Mam swoje *idée fixe*: kultura jest najważniejsza. To dziedzina życia, o którą wszyscy powinniśmy szczególnie dbać. To nasze dziedzictwo, a tę współczesną uważam za kluczową. Stąd te wernisaże młodych dziewczyn, kobiet, mało znanych artystek i artystów. Zależy mi, żeby za 50, 100 czy 300 lat można było powiedzieć: „Słuchajcie, we Wrocławiu mieszkała ta wybitna artystka, ten wybitny artysta”. To są nasze działania tu i teraz – pomagać lokalnym twórcom (trochę to brzmi patriotycznie, ale tak do tego podchodzę) różnymi sposobami: programami, stypendiami, wsparciem, po prostu chodzeniem na ich wydarzenia. Po to, żeby mieli wiatr w żaglach, żeby się nie poddawali. Sztuka jest ulotna, często tymczasowa, trudna i zwykle, zwłaszcza na początku drogi, nie daje finansowego bezpieczeństwa. Tym bardziej trzeba ją wspierać. Im więcej osób się w to zaangażuje, tym więcej na tym zyskamy – nie tylko pojedynczy artysta, ale my wszyscy jako społeczeństwo.

Co zyskujemy dzięki sztuce, do czego jest nam potrzebna?

— Wiem, że wiele osób uważa, że sztuka nie jest potrzebna. Tymczasem jest niezbędna, bo przynosi różnorodność, a w konsekwencji szacunek. To, że ty masz niebieskie oczy, ja mam brązowe – to właśnie różnorodność. To, że tobie się podoba obraz takiego artysty, a mnie innego – to jest wzajemny szacunek. I to, że umiemy o tym rozmawiać, że jest mała architektura dookoła, jak również to, że moglibyśmy mieć – choć na razie nie mamy – na naszej drodze do pracy i z powrotem jakieś niewielkie dzieła sztuki. Czy to będzie grafity, mural, rzeźba – nieistotne, ważne, że wzbudzi jakąś emocję, zachwyt. Ta

sztuka dookoła nas niesie bardzo ważne wartości – szacunek, otwartość na siebie wzajemnie, ale też współpracę. Przynosi te dobre chwile, nawet jeśli to tylko ułamek sekundy.

Chwilę zapomnienia i refleksji.

Na jednym z końców mostu Uniwersyteckiego ktoś włożył do dziury taką dłoń, a ostatnio ktoś pomalował tej dłoni paznokcie. I muszę powiedzieć, że za każdym razem, gdy tamtędy przechodzę, to wywołuje we mnie szeroki uśmiech. Obojętne, co tego dnia się wydarzyło. Jeśli miałam zły dzień, to momentalnie poprawia mi się humor! To sprawia, że nasze życie może być po prostu lepsze. Możemy czuć się razem jak wspólnota, bo ta dłoń jest nie tylko moją dłonią, ale mam nadzieję, że kolejne 500 osób, które przechodzi przez ten most, też każdego dnia uśmiecha się na jej widok.

Kreatywne dobro wspólne.

Nawet jeżeli jakaś twórczość wzbudza kontrowersje, powinna prowadzić do rozmowy, a nie do wojny. I na ogół to właśnie otaczająca nas sztuka uczy ludzi rozmawiać. A to jest niezwykle ważne, żebyśmy jako społeczeństwo to potrafili – szczególnie w trudnych czasach jak teraz, gdy za naszą granicą toczy się wojna.

**MOŻE DLA WIELU OSÓB
TO BĘDZIE BARDZO
DALEKIE PORÓWNANIE, ALE
MOIM ZDANIEM TA SZTUKA
BUDUJE ODPORNOŚĆ.**

Łączy, tworzy więzi i powoduje, że będziemy mogli za chwileczkę stanąć razem w razie potrzeby. Jestem ogromną przeciwniczką konfliktowania ludzi. To mnie bardzo boli. Widzę to dookoła, jak różne grupy próbują wykorzystywać

konflikt dla partykularnych interesów czy kariery. To zupełnie nie moja ścieżka. Moją jest łączenie, uważność, patrzanie na innych, zwracanie uwagi na to, co się dzieje.

I to jest niesamowite, wystarczy mały impuls w przestrzeni publicznej, a ta kreatywność się pojawia. Jakby wszystko było uśpione i czekało tylko na możliwość zaistnienia. Czasem to może być pusta ściana oddana Skontowi albo właśnie taka ręka. I zgadzam się, że sztuka tworzy wspólnotę i wzmacnia jej odporność.

Mam poczucie, że we Wrocławiu moglibyśmy mocniej wspierać kulturę systemowo. Razem z kilkoma radnymi, między innymi z Igozem Wójcikiem, szukamy sposobu, by z jednej strony lepiej wspierać lokalnych artystów, a z drugiej – szerzej rozwijać edukację kulturalną. W tym roku udało się pilotażowo wprowadzić program w kilku liceach, ale moim zdaniem powinien obejmować całe lokalne społeczności, wydobywać z ludzi umiejętności, a przynajmniej wrażliwość, którą każdy z nas ma na jakimś poziomie. Wczoraj był u mnie pan złota rączka, naprawiał różne rzeczy i w rozmowie mówi: „Wie pani, mam po dziadku akordeon i czasami sobie przygrywam”. I właśnie o to chodzi – żeby ludzie „przygrywali” nie tylko po cichu w domu, ale dla przyjemności, na co dzień. Tymczasem w Polsce systemowo zaniedbano edukację kulturalną. W zwykłych szkołach nie ma już muzyki, chórów, orkiestr. A u naszych sąsiadów – w Niemczech, Czechach, Ukrainie czy nawet w Rosji – takie podstawowe formy edukacji artystycznej wciąż funkcjonują. U nas jedynym miejscem, gdzie ludzie jeszcze śpiewają, często jest kościół. To jest dla mnie naprawdę niepokojące.

Kiedy rozmawiam ze swoimi studentami z całego świata, czy to z Afryki, czy z Azji, czy z Europy, często przewija się temat, że u nich niemal każdy śpiewa lub gra na jakimś instrumencie – to część ich codzienności. U nas jest pod tym względem słabo.

Mamy we Wrocławiu wspaniałe Zespoły Pieśni i Tańca „Wrocław”, który mógłby grać na każdym podwórku przez cały rok, a organizuje zaledwie kilka koncertów. Uczy dzieci i młodzież, ale to bardzo wąska grupa. Reszta wypada z obiegu. Jakby zajmowanie się kulturą od razu oznaczało konieczność wygrywania konkursów. A przecież nie o to chodzi. Nie każdy ma zostać laureatem Konkursu Chopinowskiego. Sztuka jest po to, żebyśmy się rozwijali, rozumieli język naszych rodziców i dziadków, a wspieranie współczesnej kultury służy temu, żeby nasze praprawnuki miały co wspominać z naszych czasów. Jako kraj mocno to zaniedbaliśmy – ponad podziałami politycznymi. Być może straciliśmy co najmniej jedno pokolenie, ludzi wychowanych bez potrzeby obcowania z kulturą. Wrocław jako miasto i tak, myślę, dość pręźnie wspiera kulturę – zawsze chciałoby się więcej, ale nie wygląda to źle. To jednak powinny być rozwiązania ogólnopolskie, systemowe. A tymczasem pieniędzy wciąż brakuje, przedmiotów artystycznych w szkołach też jest coraz mniej. Zobaczmy, do czego sami doprowadziliśmy. Ja trzymam kciuki za nas wszystkich.

Czy coś wyróżnia wrocławską kulturę?

Mamy wielu wspaniałych artystów. Wrocław się rozwija wielotorowo i to, co da się wyczuć, to ta różnorodność. Myślę, że to wynika z naszej wrocławskiej historii. Mieszkańcy są generalnie otwarci i sympatyczni, tak bym nas określiła, co powoduje, że artyści też

KARTY I PŁATNOŚCI TELEFONEM PRZEJDĄ DO LAMUSA?

Tak jak przesiedliśmy się z konia do samochodu, zamieniliśmy telefony stacjonarne na komórkowe, tak wkrótce do lamusa mogą przejść karty płatnicze oraz płatności zbliżeniowe telefonami i zegarkami. Twórca wrocławskiego start-upu PayEye przewiduje, że czeka nas w tym obszarze rewolucja biometryczna.



Rozwiązanie wykorzystujące płatności tęczówką oka, które było we Wrocławiu testowane już przez ostatnich kilka lat, teraz może zostać wdrożone na całym świecie. O tym, dlaczego w niedalekiej przyszłości standardem miałyby się stać „płatność spojrzeniem”, rozmawiamy z Danielem Jarząbem, twórcą projektu PayEye, od zeszłego roku współpracującego z globalnym operatorem płatności Mastercard.

Wyobraź sobie świat, w którym do zapłacenia za kawę nie potrzebujesz już

karty, telefonu ani zegarka – wystarczy jedno spojrzenie. Brzmi jak science fiction? Dla Daniela Jarząba i jego zespołu to rzeczywistość. Polski start-up jako pierwszy na świecie przeprowadził „płatność spojrzeniem” i dziś stoi u progu globalnej rewolucji biometrycznej. W rozmowie z nami Jarząb opowiada o kulisach współpracy z firmą Mastercard, o tym, jak przekonać ludzi do „płacenia okiem” – i dlaczego wierzy, że to właśnie z Polski może pochodzić pierwsza światowa marka w branży *fintech*.

Dziś płacimy kartą, telefonem, zegarkiem, naklejką z chipem, kodem BLIK – dlaczego mielibyśmy zmienić zwyczaje i zacząć „płacić okiem”?

☛ Z biometrii korzystamy już na co dzień, między innymi do odblokowywania telefonów. Dlaczego to robimy? Bo zbliżenie twarzy do kamery jest wygodniejsze i szybsze niż odblokowanie przyciskiem oraz wpisanie kodu PIN, co też nie jest szczególnie skomplikowaną operacją, a jednak trwa nieco dłużej i wymaga odrobinę więcej wysiłku. W tej chwili

↑ System PayEye przez wiele miesięcy był testowany w restauracjach, sklepach i punktach usługowych, także na terenie Wrocławia
fot. PayEye

→ **Daniel Jarzab**
współzałożyciel i prezes
PayEye. Doświadczony
menedżer i laureat
nagród branżowych,
m.in. plebiscytów
30 Kreatywnych
Wrocławia oraz
50 Najbardziej
Kreatywnych Ludzi
w Biznesie
fot. PayEye

większość ludzi, płacąc za zakupy, korzysta z technologii NFC (bezystykowe użycie karty lub telefonu), zamiast wkładać kartę do czytnika, bo jest to szybsze i wygodniejsze. Jeśli w przyszłości nie będziemy musieli nosić przy sobie smartfona, a nawet niczego szukać w portfelu czy kieszeni, lecz wystarczyć będzie spojrzenie w stronę kamery w terminalu, to takie rozwiązanie szybko się przyjmie.

Szybciej i wygodniej – ale czy równie bezpiecznie?

☛ Ten model charakteryzuje się większym bezpieczeństwem niż karta, bo kartę można zgubić lub skopiować, a oka nie. Każdy ma też inną tęczówkę – nawet bliźniacy jednojajowi, których DNA jest takie samo, mają je zupełnie różne. Nasz system zaprojektowaliśmy tak, że nie da się go użyć przypadkowo. Nie istnieje możliwość, że ktoś na odległość zeskanuje nasze oko. Żeby transakcja mogła zostać dokonana, trzeba spojrzeć na kamerę z odległości 35–40 centymetrów – i to spojrzenie musi być intencjonalne, konieczne jest skierowanie wzroku prosto w kamerę urządzenia. Pod kątem prywatności nie ma lepszego systemu na świecie. To rozwiązanie przełomowe na skalę globalną i wierzę, że za jakiś czas będzie wykorzystywane w większości krajów.

A Chiny? Przecież tam już stosuje się biometrię.

☛ Nie ukrywam, że chińska firma Alipay, która w 2017 roku przeprowadziła pierwszą na świecie płatność twarzą w restauracji KFC, była dla mnie inspiracją – jednak to całkiem inna technologia i inna rzeczywistość. W Chinach używa się biometrii nie tylko do płatności, ale również do identyfikacji ludzi – powiedzmy sobie wprost: do śledzenia. Tam nie trzeba wyrażać zgody na to,



żeby rząd wiedział, na jakiej jesteście w ulicy, w którym sklepie robimy zakupy czy na jakim przystanku metra codziennie wysiadamy. Kamery zainstalowano wszędzie, a ludzie cały czas są śledzeni.

Czy tamtejsze biometryczne płatności działają podobnie do waszego rozwiązania?

☛ W Chinach nie wykorzystuje się tęczówki oka, a całą twarz. Obecnie każdego dnia ponad miliard ludzi w tym kraju korzysta z takiej formy płatności, bo jest ona najwygodniejsza pod kątem *user experience*. W Chinach jednak płatność twarzą wydaje się wystarczająca z punktu widzenia bezpieczeństwa, bo gdy przysłowiowy chiński „pan Kowalski” idzie do restauracji i tam płaci twarzą, to ze względu na to, że jest śledzony, obsługa już w momencie przekroczenia przez niego progu wie, że to ta

osoba. Do identyfikacji wystarczy jedynie jej twarz, bo nie trzeba przypasowywać jej cech do całej populacji, a jedynie do osób znajdujących się w lokalu.

Czy w innych krajach też wykorzystywany jest ten sposób identyfikacji?

☛ Tak – podobne rozwiązania stosuje się już na lotniskach w Singapurze czy Dubaju. Żeby przejść przez bramkę, nie trzeba nawet kłaść paszportu na czytniku – systemom wystarczy nasza twarz. Tu też identyfikacja na podstawie samej twarzy jest wystarczająca, bo służby lotniskowe doskonale wiedzą, że to pan wychodzi z samolotu, bo kupił pan bilet, więc nie muszą identyfikować pana wśród całej populacji, tylko wśród wychodzących z samolotu. Prawdopodobieństwo, że tym samym samolotem polecą osoba ludzko podobna, jest bardzo małe – a jeśli tak się zdarzy, można zrobić kontrolę wyrywkową.



Czyli płatność twarzą nie rozwiązuje wszystkich problemów?

☛ Zdecydowanie nie. Na rynkach zachodnich, gdzie nie ma całodobowej inwigilacji, identyfikacja samej twarzy by nie wystarczyła – dlatego pomyślałem, że trzeba zrobić coś lepszego. Dodatkowo nasz system musi uwzględniać populację praktycznie z całego świata, bo do Starbucks na dworcu może przyjść zarówno mieszkaniec Wrocławia, jak i turysta z Sydney, Nowego Jorku czy Barcelony. Tylko tęczówka oka jest na tyle szczegółowa, że pozwala na zidentyfikowanie konkretnej osoby wśród ośmiu miliardów.

Mówi pan o rozwoju projektu – a ja pamiętam, że jeszcze kilka lat temu płaciłem przy użyciu waszej technologii na lodowisku przy stadionie czy w sklepie Społem na Oporowie. Ostatnio nie widziałem tam już waszych terminali. Dlaczego?

☛ Wycofaliśmy nasze urządzenia z całej Polski i obecnie nie ma już nas w żadnym z tych miejsc. Dotychczas płatności były realizowane w ramach różnego

rodzaju pilotaży – działaliśmy zarówno w lokalnych punktach usługowych, jak i dużych sieciach, takich jak WARS, Diwerso czy Empik. Jednym z najtrudniejszych „poligonów doświadczalnych” był Festiwal Pasibrzucha, gdzie testowaliśmy nasz system w warunkach dużej imprezy, gdzie czas płatności odgrywał ogromną rolę. W ciągu pięciu lat przeprowadziliśmy łącznie ponad 100 tysięcy płatności w Polsce, ale też w Stanach Zjednoczonych. Terminale zniknęły, bo testy zostały zakończone. Teraz przygotowujemy się do komercjalizacji rozwiązania. Podpisaliśmy już umowę z firmą Mastercard – to właśnie z nią w 2024 roku przeprowadziliśmy największy pilotaż na świecie, jeśli chodzi o fuzję wykorzystania twarzy i oka. Jesteśmy jedyną firmą na świecie, która zrobiła to w realnym użyciu, w prawdziwych lokalach i sklepach.

Jakie były odczucia użytkowników w trakcie pilotażu?

☛ Bardzo dobre. Mamy już oficjalne dane po pilotażu z Mastercard, z których wynika, że aż 95% osób uznało, że

nasze rozwiązanie jest bardzo wygodne, 90% respondentów było zafascynowanych technologią biometryczną, 60% zadeklarowało, że płatności te są bezpieczniejsze niż płacenie kartą lub telefonem, a 75% wskazało, że uważa je za wygodniejsze i że będzie chciało z nich korzystać.

Jak to się stało, że światowy potentat, jakim jest Mastercard, zdecydował się na współpracę z wami?

☛ To była długa droga. Wydaje mi się, że ojcem tego sukcesu jest po prostu nasz wspaniały zespół, który przez wiele lat ciężko pracował. Kluczowa okazała się nasza determinacja i odpowiednie zarządzanie ludźmi. Nie ukrywam – paradoksalnie pomogła również pandemia. Wcześniej ludzie myśleli, że przejdziemy na płacenie odciskiem palca – i przed 2020 rokiem pracowano nad takimi systemami. Ale po covidzie nikt nie chce dotykać czytników, których wcześniej dotykali inni. Ekrany były brudne, tłuste. Dlatego na popularności zaczęły zyskiwać formy, które nie wymagają bezpośredniego kontaktu z urządzeniem.

Ale jak to wyglądało w praktyce? Przecież nie zadzwonił pan chyba do prezesa firmy Mastercard i nie powiedział: „Hej, mamy fajny pomysł”, a on po minucie odpowiedział: „Zróbmy to!”.

☛ Oczywiście, że tak nie było. Współpraca z firmą Mastercard to efekt wielu lat ciężkiej pracy i pilotaży, które robiliśmy w Polsce. Dokładnie 24 czerwca 2020 roku – tej daty nie zapomnę do końca życia – w restauracji Sushi Naka przy ulicy Ołtaszyńskiej dokonaliśmy pierwszej na świecie płatności spojrzeniem. Potem wdrażaliśmy rozwiązanie w innych lokalizacjach.

←

Wrocławska firma stale udoskonala swoją technologię. Obecnie trwają prace nad piątą generacją terminali do płatności tęczówką oka
fot. PayEye

→ Równolegle pojawialiśmy się na coraz większej liczbie targów i konferencji na świecie. Prowadziliśmy mądrze zaplanowany marketing i komunikację – no i w końcu branża finansowa się o nas dowiedziała i zaczęła się nami interesować. To na pewno nie był łatwy czas, ale zakończył się sukcesem. Powiem tak: udało nam się zwrócić na siebie uwagę. Po siedmiu latach jesteśmy jedyną firmą na świecie z takim doświadczeniem – przeprowadziliśmy wiele transakcji w realu, czyli nie w laboratorium, nie na fikcyjnych danych, tylko na prawdziwych danych biometrycznych – naszych użytkowników i losowych osób. To nasza przewaga nad konkurentami z całego świata.

fot. PayEye

To w takim razie – co dalej?

Przygotowujemy się do kolejnego kamienia milowego, czyli komercjalizacji naszego rozwiązania – nie tylko w obszarze płatności, ale również w innych miejscach, gdzie identyfikacja człowieka odgrywa kluczową rolę. Nie mogę jeszcze dziś oficjalnie mówić, z jakimi partnerami i w jakim kraju, ale będzie to bardzo duży projekt.

Wróćmy jednak do płatności – czy terminale skanujące tęczówkę oka wkrótce zastąpią obecne terminale dla kart płatniczych w każdym większym sklepie, restauracji czy taksówce?

To nie będzie tak, że zastąpią. Nasze urządzenia umożliwiają zarówno płatność z wykorzystaniem tęczówki oka, jak i urządzeniem NFC czy zwykłą kartą. Klient nadal będzie miał wybór. Szacuję, że największe sieci mogą zacząć wdrażać biometrię za około 3 lata, może 5 lat. Na całym świecie wymiana terminali potrwa zaś około 20 lat. Wynika to z tego, że urządzenia te się zużywają i co jakiś czas trzeba je wymieniać –



i jeżeli będzie wówczas możliwość, by zastąpić je modelami oferującymi dodatkową usługę, wiele punktów z tego skorzysta. Tak było przecież z technologią NFC, która w 2017 roku stanowiła nowość, a dziś w Polsce jest już standardem. Dodatkową zachętą dla dużych graczy będzie możliwość personalizacji oferty. Na przykład jeśli w sieci takiej jak McDonald's klient zostanie zidentyfikowany jeszcze przed dokonaniem transakcji, kiosk do zamówień będzie mógł zaprezentować mu ofertę dobraną na podstawie jego wcześniejszych wyborów. To znacząca oszczędność czasu dla klienta, ale też i samej firmy. Uważam, że biometria w płatnościach to dopiero początek – czeka nas większa rewolucja biometryczna. Myślę, że za kilka lat na stadionach 100% osób wchodzących na wydarzenia – zamiast na podstawie papierowych biletów czy kodów w aplikacji – będzie identyfikowanych biometrycznie. Takie rozwiązanie jest nie tylko szybsze, ale też poprawia bezpieczeństwo – nie będzie można skorzystać z czyjegoś biletu.

Coś czuję, że może być opór w społeczeństwie...

Tak jak przy każdej nowości. Pamiętam, jak sam 25 lat temu bałem się internetu – tego, że ktoś wrzuci moje dane, zdjęcia i że wszyscy będą wiedzieć, kim jest Daniel Jarząb. Baliśmy się też pierwszych samochodów, bo jeśli dziadek jeździł na koniu, ojciec jeździł na koniu, to dlaczego ja mam jeździć samochodem? Baliśmy się sprzętów AGD, komputerów, telefonii komórkowej, baliśmy się wszystkiego – a dziś nie wyobrażamy sobie bez tego życia. Tak samo będzie z wykorzystaniem biometrii w systemach bezpieczeństwa. Przechodząc przez bramki na lotniskach, mamy świadomość, że wszyscy przeszli przez te same procedury, więc czujemy się bezpiecznie. Bezpiecznie chcemy się też czuć na stadionie czy w sali koncertowej. Jasne, że nie chcemy być zidentyfikowani na ulicach, ale jeżeli wchodzimy na imprezę masową – patrząc na to, co się dzieje dzisiaj na świecie – chcemy mieć pewność, że wszystkie osoby na niej mają dobre intencje.



Jak wygląda codzienna praca w waszej firmie?

Nasz zespół to osoby z bardzo szerokimi kompetencjami. Z racji tego, że sami projektujemy nasze urządzenia i moduły biometryczne, mamy własny dział badań i rozwoju (R&D), który cały czas pracuje nad udoskonalaniem sprzętu i dostosowywaniem go do nowych możliwości rynkowych. W naszej firmie funkcjonuje też zespół biometryczny stale ulepszający nasze algorytmy. To trochę tak jak z kolejnymi wersjami narzędzia ChatGPT – my również cały czas doskonalimy nasze algorytmy, by działały lepiej, skuteczniej, szybciej i bezpieczniej. Mamy także

dział IT, zajmujący się dostosowywaniem naszych aplikacji do aplikacji zewnętrznych, z którymi będziemy się integrować. To głównie praca u podstaw – wewnętrzna. Kolejne ogniwo to zespół prawny, jego członkowie zajmują się wszystkimi regulaminami i polityką prywatności. Na tę chwilę nie widzimy potrzeby tworzenia działu marketingu i sprzedaży, bo ten etap jest już za nami. W przeszłości pracowało z nami ponad 100 osób, dziś PayEye liczy 35–40 pracowników, a większość z nich pracuje zdalnie. Mamy też zespoły poza Wrocławiem – w kraju, z którym nawiązujemy współpracę, a o którym jeszcze nie mogę mówić.

Terminale do płatności sami budujecie od zera?

Urządzenia są projektowane i testowane przez nas w biurze przy ulicy Zwycięskiej we Wrocławiu. Przez lata przygotowaliśmy wiele różnych modeli. Obecnie pracujemy już nad piątą generacją. Terminale projektujemy samodzielnie – sami robimy wydruki 3D obudowy, projektujemy płyty główne i dobieramy moduły biometryczne. Testowaliśmy setki różnych kamer i podzespołów.

Jak się narodził pomysł stworzenia firmy PayEye?

Od zawsze interesowałem się technologią, ale ważną inspiracją był dla mnie Steve Jobs, który wprowadził biometrię do telefonów. Kiedy kupiłem sobie pierwszego iPhone'a z identyfikacją użytkownika za pomocą odcisku palca – nastąpił pewien moment, gdy zrozumiałem, że ta technologia zmieni świat. Wtedy była ona elitarna, tylko dla iPhone'ów, dla nielicznych. Dziś biometria jest w każdym telefonie, nawet w tych mniej znanych z Chin – i wszyscy z niej korzystają. To był także moment, w którym moja głowa otworzyła się na takie rzeczy. PayEye stworzyłem po to, by robić to, co kocham i co daje mi ogromną satysfakcję. Wierzę, że naszym działaniem zmieniamy świat i zapiszemy się na kartach historii. W sumie już to zrobiliśmy, bo jesteśmy pierwszą firmą, jedyną, która coś takiego osiągnęła.

Nie tylko pan, ale w ogóle my, Polacy, bardziej niż nasi zachodni sąsiedzi przejawiamy ciekawość związaną z nowymi technologiami, zwłaszcza tymi w branży finansowej. Z czego to wynika?

Każda technologia – jak dobra by nie była – potrzebuje dwóch rzeczy, żeby mogła zostać zaimplementowana.

←

Terminale PayEye są konkurencyjne, ponieważ umożliwiają płatność nie tylko tęczówką oka, lecz także kartą czy telefonem, dzięki czemu przedsiębiorca nie musi kupować kilku osobnych urządzeń
fot. PayEye

→ Płatność tęczówką oka jest realizowana szybciej, ponieważ klient nie musi sięgać do portfela ani odblokowywać telefonu. To rozwiązanie może usprawnić obsługę miejsc, w których tworzą się kolejki

fot. PayEye

Pierwsza z nich to czas – odpowiedni moment, w którym pojawia się na rynku. Jako ciekawostkę opowiem, że pierwsze rozwiązania biometryczne oparte na skanie oka testowano na lotniskach w Singapurze już w latach 1999–2000 (jest zresztą w naszym zespole osoba, która pracowała przy tamtym projekcie). Nie zakończył się on sukcesem, bo został wprowadzony zbyt wcześnie – ludzie nie byli jeszcze na to gotowi. Polska w 1989 roku otworzyła się na świat, a zatem także na innowacje. Ostatnie lata to czas, gdy w naszym kraju wszystko budowano od nowa – nowe hotele, galerie handlowe, drogi. Równocześnie w szybkim tempie powstawał system płatności bezgotówkowych. Dla porównania – Niemcy zaczęły się rozwijać dużo wcześniej niż my, więc tam trzeba teraz modernizować, a nie budować od zera, a to trwa. Tak jest z każdą technologią, nie tylko płatniczą. Zakładam, że teraz to samo będzie się działo za naszą wschodnią granicą. Gdy tylko skończy się wojna, Ukraina będzie miała lepsze hotele niż my, lepsze galerie, drogi, infrastrukturę płatniczą, banki i IT, bo będą budować wszystko od zera. U nas natomiast będzie to już wymagało „remontu”, czyli wymiany istniejących urządzeń – a to nie jest takie proste.

Odpowiedni moment dla nowej technologii to jedno. Co jest tym drugim czynnikiem?

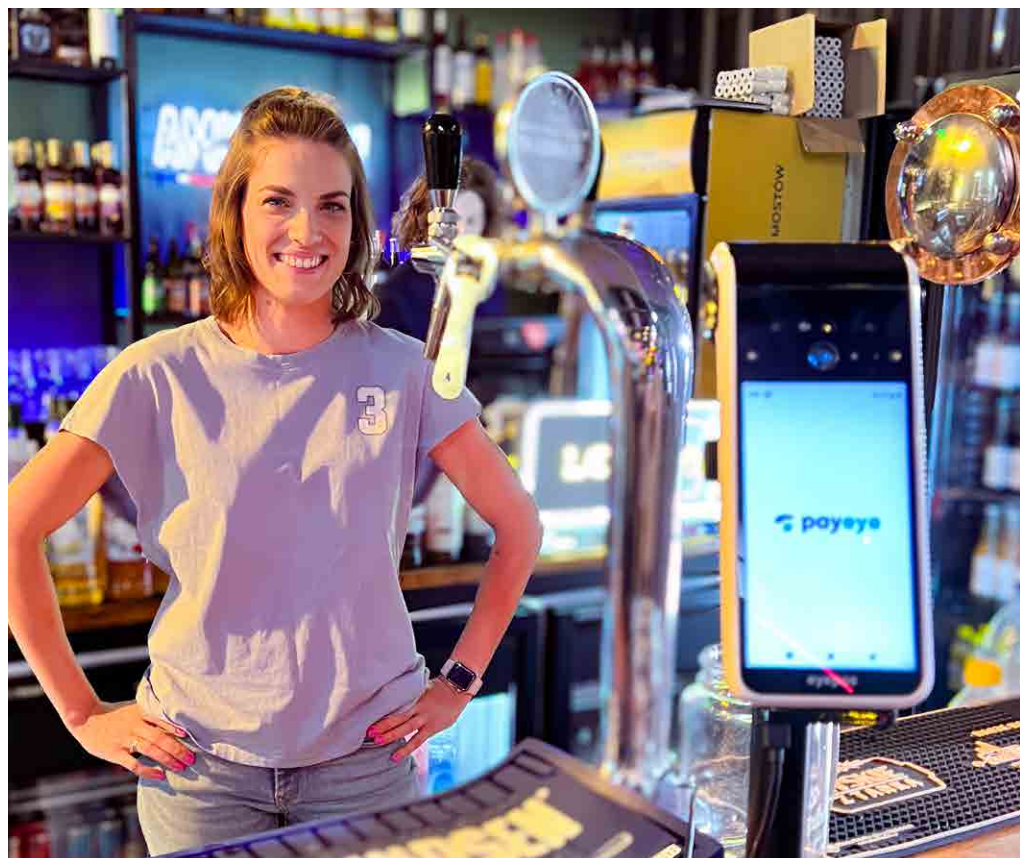
Polacy są naprawdę wyjątkowi. Mamy bardzo ważną cechę: nam się chce i jesteśmy niezwykle pracowici. Mamy też potrzebę udowodnienia, że potrafimy konkurować z największymi. Niestety, borykamy się w Polsce z ogromnym problemem – brakiem kapitału – i to jest ten drugi niezbędny warunek dla nowej technologii. Przez brak kapitału nie rozwinęliśmy żadnej globalnej

polskiej marki, choć taki potencjał wykazywaliśmy nie raz i nie dwa razy. Żeby zawojować świat, trzeba mieć duży apetyt na ryzyko i duży kapitał. Przełomowe stają się tylko te projekty, które mogą się udać albo nie udać – w tym właśnie tkwi ich wyjątkowość. Jak spojrzemy na historię największych aplikacji i firm na świecie, takich jak Spotify, Facebook (Meta), Amazon czy Netflix, to widać, że każda z nich była o krok od porażki. Ale dzięki determinacji założycieli i ich zespołów oraz odwadze inwestorów wkładających pieniądze w projekty niegenerujące początkowo przychodów, firmy te odniosły sukces. Dlatego jestem pewien, że PayEye będzie pierwszą marką z Polski, z której będziemy dumni.

Czy PayEye będzie pierwszą polską globalną marką rozpoznawalną na całym świecie?

Jestem Polakiem i zawsze będę miał orzełka w paszporcie. Myślę, że świat zapamięta, że PayEye ma polskie korzenie. Ale polską firmą za chwilę już nie będziemy. Obecnie przygotowuję nas do „przeprowadzki” do innego kraju, w którym w końcu znalazłem inwestorów rozumiejących, że PayEye jest przełomowe na skalę całego świata, i gotowych zainwestować tyle, aby osiągnąć cel, o którym mówię od 2018 roku. PayEye będzie najpotężniejszą firmą wdrażającą płatności biometryczne na świecie.

Rozmawiał: **Bartosz Senderek**



WSPARCIE MŚP TO REALNE BEZPIECZEŃSTWO REGIONU

Dolny Śląsk od lat uchodzi za jeden z najbardziej przedsiębiorczych regionów w Polsce, ale to nie wielkie korporacje są dziś jego najpewniejszą kotwicą. Odporność na kryzysy rodzi się tam, gdzie działają lokalne firmy – szybkie w podejmowaniu decyzji, bliskie klientowi, zdolne do błyskawicznego przechodzenia od pomysłu do wdrożenia.



Gdy świat staje się nieprzewidywalny, to właśnie małe i średnie przedsiębiorstwa (MŚP) podtrzymują stabilność rynku pracy, zasilają budżety samorządów i jako pierwsze reagują na popyt lokalnych konsumentów.

Jeśli chcemy spokojniej przechodzić przez zawirowania świata – wspierajmy lokalne firmy. To one najszybciej

odpowiadają na potrzeby ludzi i rynku, tworzą miejsca pracy i podnoszą odporność gospodarki. Na Dolnym Śląsku ten impuls jest silniejszy, gdy przedsiębiorcy łączą siły między sobą, ale też z partnerami technologicznymi i klastrami branżowymi – komentuje Maciej Potocki, prezes Wrocławskiego Parku Technologicznego (WPT).

SERCE WZROSTU BIJE W FIRMACH

Dolnośląskie MŚP są praktycznym napędem regionu: każdy nowy produkt czy usprawniona usługa to nie tylko dodatkowe przychody jednej firmy, lecz fala korzyści dla całego ekosystemu – od dostawców i podwykonawców po budżety samorządów. Gdy przedsiębiorcy

↑
WPT wspiera firmy poprzez zapewnienie dostępu do zaawansowanych technologii oraz specjalistycznej wiedzy
fot. WPT

mają pod ręką laboratoria, linie pilotażowe, doradztwo technologiczne i zaufaną sieć partnerów, czas wdrażania innowacji wyraźnie się skraca.

PRZEŁĄCZNIK NA WYŻSZY BIEG

Rola tzw. instytucji otoczenia biznesu (IOB) – na przykład WPT czy Krajowego Klastra Kluczowego NUTRIBIOMED – polega dziś na skróceniu przedsiębiorcom drogi „od pomysłu do produktu”. W jednym miejscu mogą zweryfikować swoje koncepcje, stworzyć prototyp, przetestować go, przygotować dokumentację i włączyć się w łańcuchy dostaw. Klastry dodają do tego sieć zaufania – partnerów technologicznych, wspólne projekty badawczo-rozwojowe (B+R), ekspansję tam, gdzie dla pojedynczej firmy byłoby za trudno lub za drogo. Efekt? Mniejsze ryzyko, więcej wdrożeń i większa odporność regionu na wstrząsy.

WSPARCIE OFEROWANE PRZEZ INSTYTUCJE, TAKIE JAK WPT I KLASTRY BRANŻOWE, NIE JEST KOSZTEM, LECZ POLISĄ BEZPIECZEŃSTWA DLA CAŁEGO DOLNEGO ŚLĄSKA: BUDUJE ODPORNOŚĆ, STABILIZUJE ŁAŃCUCHY DOSTAW I WZMACNIA BAZĘ PODATKOWĄ, Z KTÓREJ KORZYSTAJĄ MIESZKAŃCY.

To praktyczny sposób na podtrzymanie dynamiki rozwoju – z myślą o kolejnych dekadach. Wrocławski Park Technologiczny nie tylko udostępnia przestrzeń i aparaturę, ale także działa jak przewodnik po świecie innowacji: pomaga firmom zdefiniować potrzeby, dobrać narzędzia i zminimalizować ryzyko podczas wdrożenia.

Wrocławski Park Technologiczny S.A.

liczba pracowników

96

data powstania

1998

aktywa rzeczowe

156 mln zł

powierzchnia: **68 738 m²**

sale konferencyjne

1%

laboratoria

11%

biura

21%

reszta*

67%

* przestrzeń społeczno-organizacyjna, magazynowa, produkcyjna, prototypownia, komunikacja.

działalność w latach **2019-2023**

91 nowo powstałych firm

196 start-upów technologicznych

976 podmiotów korzystających z infrastruktury

511 usług doradczych

216 szkoleń

Dane pochodzą z raportu

Rola pięciu parków technologicznych w ekosystemie innowacji,

<https://ekosysteminnowacji.pl>.



←

Współpraca z WPT nie kończy się na wynajmie biur – park zapewnia swoim partnerom dostęp do zaawansowanej infrastruktury i wiedzy ekspertów
fot. WPT

Naszą rolą nie jest już tylko wynajem biur – staliśmy się przewodnikami po skomplikowanym świecie innowacji. Firma przychodzi do nas z problemem biznesowym, a my, korzystając z naszej infrastruktury i wiedzy, pomagamy jej dobrać odpowiednie narzędzia z oferty publicznej, by przekuć pomysł w realny produkt – podkreśla prezes WPT.

MILIONY W PODATKACH, ZYSK DLA WSZYSTKICH

Tę samą logikę przyspieszenia widać w klastrach i innych sieciach wspierających przedsiębiorców. Gdy działają one ramię w ramię, powstaje środowisko, w którym łatwiej testować, certyfikować i skalować rozwiązania – z namacalnymi korzyściami dla całej regionalnej gospodarki. To zaś wprost przekłada się na liczby: spółki z wiodących polskich parków technologicznych wypracowały

łącznie miliardowe przychody i znaczące wpływy podatkowe, co pokazuje, że model „infrastruktura + kompetencje + koordynacja” realnie zasila finanse publiczne i lokalny rynek pracy. W samym 2023 roku firmy z pięciu wiodących parków technologicznych w Polsce, w tym z WPT, wypracowały około 5 miliardów złotych przychodu, 335 milionów złotych zysku i zapłaciły w przybliżeniu 40 milionów złotych podatku CIT, co pokazuje skalę i skuteczność tego modelu działania.

JAK TO WYGLĄDA W PRAKTYCE?

Dobrym obrazem ilustrującym tego typu współpracę jest przykładowa ścieżka z branży *life science*. Wyobraźmy sobie dolnośląski zespół, który opracowuje skład naturalnego suplementu diety opartego na ekstraktach roślinnych.

W laboratorium WPT powstaje receptura i prototyp, a na pilotażowej linii produkcyjnej dopracowywane są parametry produkcji – od ekstrakcji (na przykład nadkrytycznym CO₂) po suszenie rozpyłowe. Równolegle specjaliści pomagają sporządzić dokumentację jakościową oraz przygotować zgłoszenia i badania stabilności. Klaster NUTRIBIOMED, który działa przy WPT, oferuje kontakty do dostawców surowców i potencjalnych dystrybutorów, a także partnerów do wspólnego projektu badawczego.

Efekt? Krótsza droga „z laboratorium na półkę”, mniejsze ryzyko błędów w procesie wdrożenia i gotowość do wejścia w łańcuchy dostaw (na przykład sieci handlowych lub eksportowe). Takie projekty to nie tylko wzrost przychodów firmy – to również nowe miejsca pracy i większe środki na wydatki publiczne pozostające w regionie.

Zarówno WPT, jak i klastry grają tu rolę katalizatorów: skracają czas, obniżają ryzyko i ułatwiają firmom wejście na rynki o wyższej wartości. Jeśli region chce rosnąć szybciej i bezpiecznie, właśnie w tych miejscach warto koncentrować inwestycje i uwagę – bo to one zamieniają potencjał przedsiębiorców w wyniki widoczne w budżetach, zatrudnieniu i eksporcie.

ODPORNOŚĆ TO NIE SLOGAN

Silne MŚP stabilizują zamówienia u lokalnych partnerów i podwykonawców, szybciej dostosowują się do zmian prawnych i rozprawdzają innowacje po całym ekosystemie. W krytycznym momencie potrafią zmodyfikować

produkcję, zweryfikować jakość, wdrożyć poprawki – zanim zrobi to konkurencja. Wspieranie firm nie jest więc kosztem, tylko polisą bezpieczeństwa – dla rodzin, które potrzebują stabilnej pracy; dla samorządów, które wymagają przewidywalnych wpływów; dla uczelni, które chcą rozwijać praktyczną naukę.

Znaczenie wspierania MŚP można podsumować w trzech wezwaniach. Klienci – kupujcie lokalnie. Każda świadoma decyzja zakupowa wzmacnia firmy inwestujące tu, gdzie żyjemy. Przedsiębiorcy – szukajcie wsparcia i siećujcie się: WPT i klastry istnieją po to, by skrócić czas, obniżyć ryzyko i otworzyć drzwi do większych rynków. Decydenci

i instytucje (czyli także WPT) – pamiętajmy, że MŚP to bezpieczeństwo kraju i regionu. Inwestycje w infrastrukturę, kompetencje i koordynację wsparcia zwracają się w produktywności, zatrudnieniu i podatkach – podsumowuje Maciej Potocki.

Gospodarcza odporność Dolnego Śląska nie rodzi się w odległych strategiach, lecz w halach, laboratoriach i biurach lokalnych firm. Kiedy udostępniamy im narzędzia i partnerów, zyskujemy wszyscy – bo silne MŚP to najpewniejsza definicja bezpieczeństwa na jutro.

Artykuł powstał we współpracy z Wrocławskim Parkiem Technologicznym

→
Systemowe wsparcie małych i średnich firm przynosi wiele korzyści społecznych, m.in. w zakresie bezpieczeństwa kraju i regionu, zapewnienia miejsc pracy oraz generowania przychodów do budżetu samorządu
fot. WPT



REKORDOWY ROK ZŁOTA. Co czeka rynek w 2026 roku?

Na początku tego roku uncja złota była warta około 2600 dolarów. Zaledwie dziesięć miesięcy później po raz pierwszy w historii jej cena przekroczyła 4000 dolarów. Mimo rekordowego roku banki i analitycy rynku spodziewają się, że w 2026 roku królewski kruszec nadal będzie drożał, i zgodnie wskazują, że cena uncji może przekroczyć 5000 dolarów.



O tym, jak bardzo niespodziewany był to rok, mówią liczby – nie tylko wspomniany wzrost ceny, ale również zaniżone (jak się później okazało) prognozy. Na początku roku analitycy koncernu Citigroup szacowali, że uncja do końca roku może kosztować 2800–3200 dolarów, podczas gdy eksperci z UBS podali wartość 2900 dolarów, a z Goldman Sachs – o 100 dolarów więcej. Tymczasem już na początku października złoto przebiło granicę 4000 dolarów, by w kolejnych dniach zbliżyć się nawet do 4400.

SPEKULACJA, NATURALNY WZROST CZY POLITYCZNE KRYZYSY?

Rzeczywistość zaskoczyła wszystkich zdecydowanie szybciej, niż się tego spodziewano. Posiadacze złota zanotowali największe roczne zyski od 1979 roku, a ceny tego kruszcu wzrosły w tym roku o ponad 50%. Co spowodowało tak wyraźną hossę?

Za wzrostem cen złota nie stoi spekulacja, lecz strukturalne zmiany w globalnej gospodarce. Rośnie zadłużenie Stanów Zjednoczonych, utrzymuje się

presja inflacyjna i systematycznie słabnie dolar. Katalizatorem zmian była również prezydentura Donalda Trumpa, przynosząca wiele zmiennych, między innymi liczne decyzje związane z polityką celną – wyjaśnia Michał Tekliński, ekspert rynku złota Goldenmark i Goldsaver. Czynniki te powodowały, że inwestorzy szukali realnych aktywów, które miały pomóc im w ochronie wartości kapitału. Dlatego od miesięcy obserwujemy bardzo silny popyt zarówno ze strony banków centralnych, jak i inwestorów indywidualnych.

↑
Tylko od lipca do września inwestorzy indywidualni kupili 315,5 tony złota w formie sztabek i monet
fot. Grupa Goldenmark

→ ZŁOTO WCIĄŻ W GÓRĘ

Goldman Sachs pisze o wartości 4900 dolarów na koniec 2026 roku. J.P. Morgan zakłada, że do czwartego kwartału przyszłego roku cena wzrośnie do średnio 5055 dolarów

fot. Grupa Goldenmark

Potwierdzają to ostatnie dane Światowej Rady Złota. Globalny popyt na królewski kruszec w trzecim kwartale 2025 roku wyniósł ponad 1300 ton – to najwyższy wynik od ponad dwóch dekad. Tylko od lipca do września inwestorzy indywidualni kupili 315,5 tony złota w formie sztabek i monet (wzrost o 17% rok do roku). Z kolei banki centralne dodały do rezerw kolejne 219,9 ton kruszcu (+10%). Większość wymienionych czynników wciąż wpływa na wzrost popytu na złoto i jego cena w kolejnych miesiącach powinna nadal rosnać. Nie bez powodu w wypowiedziach analityków powtarza się liczba 5000 dolarów.

JAKI BĘDZIE ROK 2026 DLA ZŁOTA?

Wszystko wskazuje na to, że w przyszłym roku możemy spodziewać się dalszych wzrostów cen tego metalu. Nastroje rynku oddaje ankieta przeprowadzona wśród uczestników październikowej konferencji Londyńskiego Stowarzyszenia Rynku Kruszców (LBMA) w Tokio – spodziewają się oni ceny w okolicach 5000 dolarów za uncję w ciągu kolejnych 12 miesięcy.

CO PROGNOZUJĄ BANKI INWESTYCYJNE?

Goldman Sachs wskazuje wartość 4900 dolarów na koniec 2026 roku. J.P. Morgan zakłada, że do czwartego kwartału przyszłego roku cena wzrośnie do średnio 5055 dolarów. Bank of America (największy bank w Stanach Zjednoczonych) przewiduje, że złoto osiągnie cenę 5000 dolarów za uncję już do połowy 2026 roku. *Do takiego wywindowania ceny złota może przyczynić się spodziewany przez analityków 14-procentowy wzrost popytu inwestycyjnego. W scenariuszu bardziej agresywnym, przy*



silniejszym napływie kapitału do inwestycji w metale szlachetne, Bank of America nie wyklucza nawet 6000 dolarów za uncję – podkreśla Michał Tekliński.

Warto także przytoczyć opinię Olego Hansena, dyrektora ds. strategii rynku surowców w Saxo Banku. Sugeruje on, że w przyszłym roku złoto czeka dalszy wzrost cen, i przypomina, że powody tego pozostają niezmiennie. W podobnym tonie wypowiadają się przedstawiciele ING, którzy jesienną korektę traktują jako fazę przejściową, a nie początek trendu spadkowego.

ILE ZŁOTA W PORTFELU INWESTYCYJNYM?

Przed kilkoma tygodniami analitycy banku Morgan Stanley opublikowali nowe zalecenia dotyczące lokowania oszczędności w kruszczach. Sugerują, by złoto i srebro stanowiło 20% wartości portfela inwestycyjnego. To duża zmiana w porównaniu do tradycyjnych portfeli mówiących o podziale 60/40 (60%

akcji i 40% obligacji). Głównym celem korekty zaleceń jest rzecz jasna zwiększenie odporności portfeli klientów. Ta perspektywa pokrywa się z poglądami innych ekspertów finansowych – Ray Dalio, założyciel Bridgewater Associates, rekomenduje w portfelu oszczędnościowym 15% złota.

Zalecenia te pokazują, jak ważną rolę w budowaniu portfela inwestycyjnego odgrywa obecnie królewski kruszec. Metal ten coraz częściej wymieniany jest jako jedno z aktywów głównego nurtu, a jego największą zaletą pozostaje odporność na kryzysy oraz inflację.

SALONY GOLDENMARK WE WROCŁAWIU

- ul. Krawiecka 1B
- ul. Legnicka 56
- Bielany Wrocławskie, ul. Czekoladowa 7–9 (CH Aleja Bielany)

Artykuł powstał we współpracy z Grupą Goldenmark

MILIONY DLA DOLNOŚLĄSKICH GMIN. CO ZMIENI NOWA FALA UNIJNYCH PIENIĘDZY?

190 milionów złotych – tyle trafi do dolnośląskich gmin i powiatów w ramach najnowszej transzy Funduszy Europejskich dla Dolnego Śląska 2021–2027. To nie jest pojedyncza inwestycja w jednym mieście, ale cała mapa zmian w mniejszych ośrodkach regionu.



Pieniądze zostały podzielone na 50 projektów rozsianych po całym subregionie wrocławskim: od kanalizacji i termomodernizacji budynków publicznych, przez odnowę parków i placów, aż po przedsięwzięcia społeczne wzmacniające lokalne wspólnoty. Za tym zastrzykiem środków stoi tzw. Inny Instrument Terytorialny Subregionu Wrocławskiego (IIT SW). To porozumienie kilkunastu samorządów otaczających Wrocław, które zdecydowały się planować

rozwój wspólnie, a nie w logice „każdy sobie”. Strategia IIT SW, wpisana w program Fundusze Europejskie dla Dolnego Śląska, pozwala składać duże, zintegrowane projekty obejmujące kilka gmin naraz i dzięki temu skuteczniej sięgać po unijne pieniądze.

Jak zauważa wicemarszałek województwa dolnośląskiego Wojciech Bochnak, w przypadku mniejszych gmin gra zespołowa nie jest dziś opcją, a koniecznością, jeśli w grę ma wchodzić postęp. *Łączenie sił dzisiaj po prostu się opłaca,*

bo zintegrowana współpraca sąsiadujących samorządów w zakresie najpilniejszych potrzeb mieszkańców to warunek realnego rozwoju dla mniejszych gmin. Dziś mamy wymierny efekt – 190 milionów złotych trafi do subregionu wrocławskiego – podkreśla.

← Powiaty wchodzące w skład subregionu wrocławskiego
fot. opracowanie własne

W praktyce oznacza to, że o środki nie walczy się w pojedynkę. Gminy planują inwestycje tak, by się uzupełniały, a nie dublowały, a samorząd województwa rozlicza cały pakiet przedsięwzięć zamiast kilkunastu oderwanych od siebie projektów. Dla mieszkańca ważne jest jednak przede wszystkim to, co z tego wynika na poziomie konkretnej miejscowości.

STRZELIN, TRZEBNICA, OLEŚNICA

Jeśli spojrzeć na skalę wsparcia, w ścisłej czołówce beneficjentów są gminy z trzech powiatów: strzelińskiego, oleśnickiego i trzebnickiego. W pierwszym z nich – pełniącym rolę lidera IIT SW – łączna kwota dofinansowania sięga 11,7 miliona złotych. Pieniądze zostaną przeznaczone między innymi na termomodernizację świetlic wiejskich i budynków użyteczności publicznej, zagospodarowanie przestrzeni plant w Strzelinie, rozwój terenów zielonych w Wiązowie oraz projekty społeczne, takie jak „Asystent – wsparcie

→ *Gminy Strzelin i Wiązów otrzymały łącznie blisko 5,5 miliona złotych dotacji*
fot. UMWD

w samodzielności” dla osób potrzebujących codziennej pomocy.

Podobną skalę działań widać w powiecie oleśnickim. Do Sycowa, Międzybórza i Dziadowej Kłody trafi łącznie ponad 11,6 miliona złotych. W planach jest między innymi ochrona bioróżnorodności i odnowa parku miejskiego w Sycowie, przebudowa stadionu miejskiego, rewitalizacja przestrzeni nad rzeką, budowa ścieżek rowerowych w gminie Międzybórz czy modernizacja parku Małpi Gaj w Dziadowej Kłodzie. To typowy przykład połączenia inwestycji „twardych” – jak infrastruktura – z poprawą jakości przestrzeni do spędzania wolnego czasu.

Z kolei w powiecie trzebnickim wyróżnia się skala inwestycji w gminie Zawonia, gdzie realizowana będzie budowa kanalizacji sanitarnej w tamtejszej aglomeracji z dofinansowaniem sięgającym blisko 24 milionów złotych. Dla mieszkańców oznacza to realną zmianę standardu życia: możliwość podłączenia domów do sieci kanalizacyjnej, lepszą ochronę środowiska i większą atrakcyjność osiedleńczą całej gminy.

Warto zwrócić uwagę, że na liście 50 dofinansowanych przedsięwzięć jest sporo inwestycji energetycznych i modernizacyjnych – od termomodernizacji szkół, świetlic i urzędów po montaż odnawialnych źródeł energii. To odpowiedź na rosnące koszty ogrzewania i konieczność ograniczania emisji zanieczyszczeń, ale też sposób na odzyskanie środków w budżetach gmin. Mniej pieniędzy wydanych na energię to więcej środków na inne potrzeby.

WSPÓLNOTA TO NIE TYLKO INFRASTRUKTURA

Drugą, mniej spektakularną na zdjęciach, ale kluczową częścią pakietu są projekty społeczne. Wśród nich znajdują



się między innymi programy wsparcia dla osób z niepełnosprawnościami, działania na rzecz seniorów czy projekty edukacyjne i szkoleniowe dla dorosłych mieszkańców subregionu wrocławskiego. To one mają budować lokalne wspólnoty, wzmacniać kompetencje ich członków i sprawiać, że zmiana nie kończy się na nowej kostce brukowej pod oknem.

Wojciech Bochnak zwraca uwagę, że bez funduszy unijnych większość z tych planów musiałaby zostać odłożona na bardzo odległą przyszłość. *Za nami finalizacja długiego procesu, ale jako marzalek nie ustane w dalszej pracy zmierzającej do ściągania jak największego kapitału do naszych gmin, bo właśnie tego najbardziej potrzebujemy, by się rozwijać. Te 50 zadań finansowanych z tych pieniędzy bez unijnych środków*

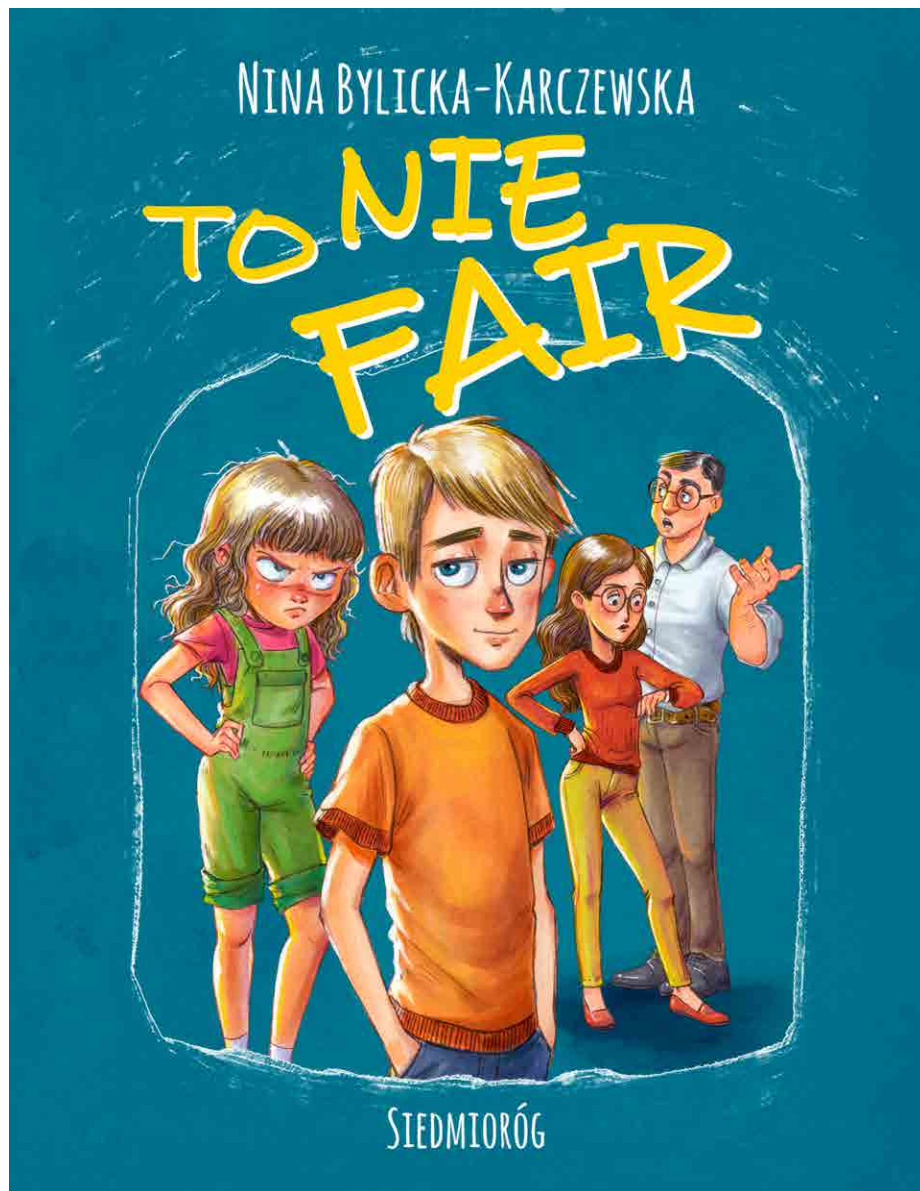
musiałoby czekać na realizację długie lata, a niektóre z nich być może nigdy nie zostałyby zrealizowane – od inwestycji infrastrukturalnych i ekologicznych po projekty społeczne wzmacniające lokalne wspólnoty – zauważa.

Nowa pula środków to nie tylko liczby na prezentacji. To konkretne zmiany w życiu mieszkańców mniejszych miejscowości: cieplejsze szkoły i świetlice, bezpieczniejsze place, zielone parki, nowe ścieżki rowerowe i lepszy dostęp do usług społecznych. Równocześnie świetny dowód na to, że współpraca samorządów w ramach subregionu wrocławskiego może realnie wyrównywać szanse na zdobywanie funduszy między dużym miastem a otaczającymi je gminami.

Joanna Brzoz

TO NIE FAIR – CZYLI NIE MA JAK W RODZINIE

Gdyby istniał katalog rodzajów rodzin, wyglądałby pewnie jak wielotomowa encyklopedia. W końcu każda rodzina jest inna i stanowi kopalnię historii, wyjątkowych osobowości, radości oraz smutków.



Do takiego tygla rodzinnych opowieści i przygód dnia codziennego sięgnęła Nina Bylicka-Karczewska, autorka powieści *To nie fair*. Z wdziękiem i humorem podgląda zwyczajną niezwykłą rodzinę oczami jednego z jej członków – nietuzinkowego chłopca. Autorka, przyjmując perspektywę wyposażonego w niezwykle zmysł obserwacji nastolatka, opowiada nam o dynamicznym domu, w którym na pewno nie ma miejsca na nudę. Dzięki chłopięcej narracji dostajemy możliwość spojrzenia na świat przez nieco introwertyczne, ale pełne miłości okulary. Chłopiec, jak to jedenastolatek, może nie wszystko jeszcze rozumie, ale z pełną powagą próbuje poukładać sobie świat, co często prowadzi do bardzo humorystycznych podsumowań.

NIEFERKA I CIERPLIWKA

Najczęściej w odkrywaniu zawilosci świata towarzyszy mu jego młodsza siostra – Nieferka, bo pod takim pseudonimem poznajemy małą bohaterkę, jest sumą wszystkich dziecięcych bolączek. Dynamiczna postać narzuca tempo całej rodzinie, pilnując swojego punktu widzenia. Piszac o *To nie fair*, nie można pominąć postaci mamy, która szuka sposobu na wprowadzenie równowagi między wszystkimi domownikami. Przypomina o takich cnotach, jak cierpliwość, spokój, harmonia czy wyrozumiałość. Nie bez powodu bliscy nazywają ją Cierpliwką, ale nawet ona czasami musi odizolować się od ich gwaru.

Oczywiście mamy też tatę, który dba o domowe zasady – a jak wiemy, takie

←

To nie fair

Wydawnictwo:

Siedmioróg

Data wydania:

1.12.2025

Liczba stron:

200

Szacunkowy

czas lektury:

3 godziny 20 minut

Oprawa twarda

fot. Siedmioróg



↑
Nina Bylicka-Karczewska
autorka powieści społeczno-obyczajowych i coach – łączy wieloletnie doświadczenie pedagogiczne i psychologiczne z praktyką zawodową w obszarze zarządzania. W swojej twórczości koncentruje się na relacjach i emocjach, a obecnie uczy kreatywnego pisania w Bloku Pisarskim
fot. archiwum prywatne

wytyczne są najtrudniejsze do egzekwowania. Jest ulubionym towarzyszem zabaw dzieci i ma prawie takie same pomysły jak one.

Wchodząc w świat bohaterów, chwilami możemy odnieść wrażenie, że znajdujemy się we własnym domu. Jednak jak już wcześniej zauważyliśmy, nie ma dwóch takich samych rodzin. Takie podglądanie obcych nierzadko przypomina zerkanie w zwierciadło własnych niedociągnięć.

OSWOIĆ SWÓJ ŚWIAT

Dla wielu czytelników głównym atutem *To nie fair* jest podróż przez rodzinną codzienność, bo niekiedy to właśnie ona bywa największym wyzwaniem. Rutyna, przyzwyczajenia i humory mogą

stanować zmoreę najlepszych rodzin. Warto z dystansem, w ciepłej oprawie przyrzec się najbliższemu i samemu głównemu bohaterowi. Wnerwiusz jest świetnym przewodnikiem po swoim domu, ale być może również po otaczającym nas świecie, jego blaskach i cieniach.

W popkulturze często spotykamy nietuzinkowych dorosłych bohaterów – takich jak Forrest Gump, Christian Wolff z *Księgowego* czy Raymond z *Rain Mana*. To postaci, które zdążyły już oswoić swój sposób widzenia świata, a widzowie nauczyli się je rozumieć. Tym ciekawsze staje się spojrzenie dziecka dopiero uczącego się siebie i budującego strategię radzenia sobie z rzeczywistością. Sami musimy ocenić, czy Wnerwiusz nas bawi, czy zaskakuje, czy faktycznie pokazuje rzeczy, na które nigdy nie zwracaliśmy uwagi, a okazuje się, że są tuż obok nas. Może być też tak, że ten niezwykle chłopiec przyniesie nam i naszym rodzinom zarówno uśmiech, jak i refleksję.

Z Niną Bylicką-Karczewską – pedagogką, coachem i autorką powieści społeczno-obyczajowych – rozmawiamy o kluczowych tematach, które podejmuje w *To nie fair*.

Dlaczego warto poznać Wnerwiusza i jego bliskich?

Rodzina Wnerwiusza to współczesna rodzina w pigułce, pełna drobnych codziennych rytuałów, ale też różnic, które trzeba oswajać. Każda rodzina jest wyjątkowa i nie da się opisać wszystkich, dlatego skupienie się na jednej pozwala pokazać wycinek naszej rzeczywistości, ale o uniwersalnej wymowie. Poprzez historię Wnerwiusza chciałam opowiedzieć o porozumieniu, codzienności – i o tym, jak bardzo potrzebujemy wzajemnego zrozumienia, nawet jeśli patrzymy na świat trochę inaczej.

Czy w dzisiejszych czasach introwertycy mają trudniej?

Przez wiele lat miałam poczucie, że introwertykom bywa znacznie trudniej. Często są pomijani, zbyt cisi, stoją gdzieś z boku. Trudniej im pokazać swój potencjał, bo naturalnie wycofują się z głośniejszych sytuacji społecznych. Ale coraz częściej widzę (może dlatego, że sama się tym interesuję), że wiele znanych osób mówi otwarcie o swojej potrzebie samotności, o ładowaniu baterii w spokoju i ciszy. I mam wrażenie, że to powoli zmienia sposób, w jaki patrzymy na introwertyków – już nie jako „mniej widocznych”, ale jako osoby, które działają po swojemu i potrzebują tylko trochę innych warunków, żeby rozwinąć skrzydła.

Żyjemy w czasach, w których wielopokoleniowe rodziny nie są już standardem. W książce poza rodzicami i dziećmi pojawia się także dziadek. Jaka jest jego rola i jaki ma wpływ na domowników?

Dziadek jest w tej rodzinie tak samo ważnym kontrastem, jak Wnerwiusz dla swojej siostry. Chłopiec swoją spokojną logiką podkreśla emocjonalność Nieferki, a dziadek robi coś podobnego wobec młodszego pokolenia. Wprowadza do ich uporządkowanego świata własne nawyki, przyzwyczajenia i inne życiowe tempo, co naturalnie rodzi konflikt. Ale ten konflikt jest potrzebny: pozwala chłopcu spojrzeć inaczej na siebie i innych, zmienia perspektywę, otwiera na współpracę. Dziadek staje się więc nie tyle antagonistą, co katalizatorem zmiany – kimś, kto wywraca dziecięcy świat do góry nogami, żeby w końcu poukładał się lepiej.

Rozmawiała:
Julia Lenar

NA RATUNEK MAŁYM DOLNOŚLĄSKIM KSIĘGARNIOM

Wrocławski pisarz, autor bestsellerowych kryminałów oraz miłośnik „księgarni z duszą” – Mieczysław Gorzka – postanowił wydać dwie powieści, które są dostępne stacjonarnie tylko w czterech miejscach w Polsce!

Wielu zapalonych czytelników kupuje książki wyłącznie online. Można stwierdzić, że takie są prawa rynku – jednak nic nie zastąpi księgarni jako miejsca i rozmowy z doświadczonym, kochającym swoją pracę księgarzem. Tylko błędząc między półkami, mamy szansę trafić na pozycję, o której, przeglądając internetowe oferty, nigdy byśmy nie pomyśleli.

RYCERZE, SMOKI I BESTIE

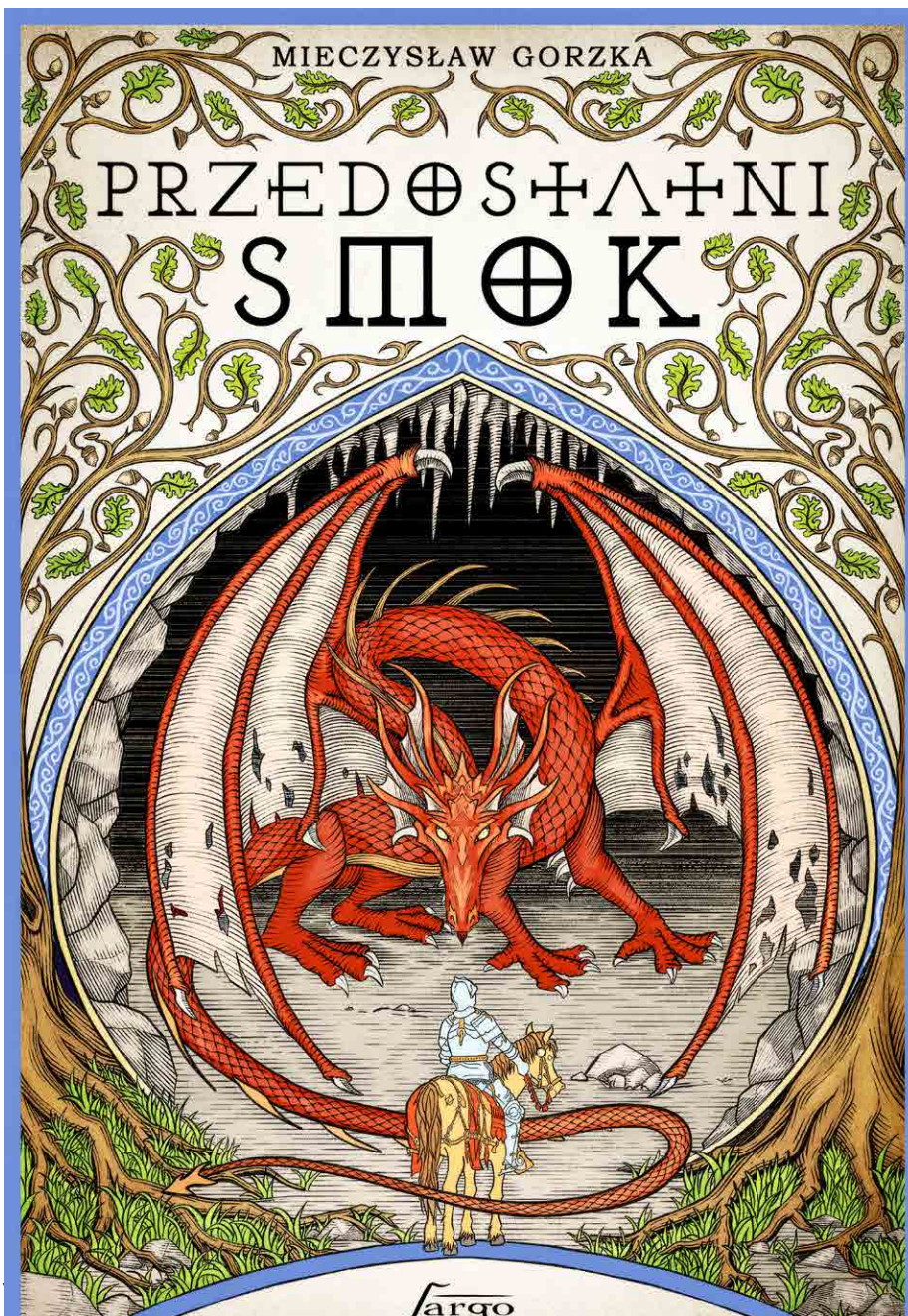
Znany i ceniony przez czytelników w całej Polsce autor powieści kryminalnych zasłynął serią z komisarzem Marcinem Zakrzewskim oraz komisarz Laurą Wilk. Współpracuje z wieloma wydawnictwami, ale zdecydował się na założenie wraz z żoną Patrycją Agencji Reklamowej LARGO, będącej wydawcą jego dwóch powieści: *Kłątwy* i *Przedostatniego smoka*. Obie książki z pewnością zaskoczą fanów twórczości Gorzki – autor zdecydował się stworzyć baśniowy cykl fantasy, w którym nie brakuje magicznych stworzeń. Bestie, gnomy, wilkołaki oraz tytułowy przedostatni smok przeniosą czytelników do świata rycerzy, kłąt oraz pięknych księżniczek. Tu wszystko jest możliwe. Wiele opisanych przygód rycerza o imieniu Mieszko budzi grozę, ale też potrafi rozbawić.

SCHYLEK MAŁYCH KSIĘGARNI

Liczba kameralnych księgarni w naszym kraju stopniowo spada. Problem

← **Przedostatni smok** to jedna z dwóch książek Mieczysława Gorzki, które będą dostępne wyłącznie w czterech małych księgarniach na Dolnym Śląsku

Wydawnictwo:
Agencja Reklamowa
LARGO
Data wydania:
18.06.2025
Liczba stron:
296
Szacunkowy
czas lektury:
4 godziny 56 minut
Oprawa twarda
fot. Largo



→ *Wspieranie małych lokalnych księgarń to wspólna inicjatywa Mieczysława Gorzki i jego żony Patrycji*
fot. archiwum własne

ten dotyka również Wrocławia, który słynie z promowania czytelnictwa oraz organizacji spotkań autorskich. Jak mówi sam pisarz: *Niestety w ostatnich latach widzimy, że we Wrocławiu małe, stacjonarne księgarnie, nienależące do sieci, są zamykane. Dlatego pojawił się pomysł, żeby pomóc tym, które jeszcze działają. Bezpośrednim impulsem było zamknięcie księgarni na placu Legionów, istniejącej w tamtym miejscu od prawie 70 lat. Zamiast niej powstał sklep z używaną odzieżą.*

NADZIEJA W AWANTURNIKU MIESZKU

Mieczysław Gorzka jest znany z zamiłowania do horroru i fantastyki. Dwie powieści w nowym dla niego gatunku mają charakter kolekcjonerski i nie są dostępne u żadnego z dużych dystrybutorów. *Wspólnie z moją żoną Patrycją postanowiliśmy wykorzystać fakt, że jestem rozpoznawalnym pisarzem na rynku kryminałów i mam rzeszę fanów. Mogę pomóc stacjonarnym księgarniom, które przeżywają kłopoty finansowe – dodaje Mieczysław Gorzka.*

Misja jego baśniowych książek jest zatem jasna: kupując je dla siebie lub bliskich, wspieramy tradycję, ale też często wieloletnią pracę niedocenionych księgarzy. *Zarówno Kłątwa jak i Przedostatni smok to lekkie historie z dużą dawką humoru. Obie są sprzedawane tylko w kilku stacjonarnych punktach, po stałej cenie, bez żadnych rabatów, aby księgarnie mogły na nich zarobić – mówi pisarz.*

GDZIE PO KSIĄŻKI?

Obie powieści to prawdziwe kolekcjonerskie perełki. Mają twarde oprawy, kapitałki i zakładki, ilustrowane wyklejki, a grafika na okładkę i inicjały do każdego rozdziału były ręcznie rysowane



i kolorowane przez Justynę Wachowską. Książki wspierające dolnośląskie księgarnie dostępne są w dwóch miejscach we Wrocławiu oraz po jednym w Środzie Śląskiej i Brzegu Dolnym.

- Księgarnia „Pod Arkadami”,
Wrocław, ul. Świdnicka 49
- Księgarnia „Gądowianka”,
Wrocław, ul. Horbaczewskiego 4–6
- Księgarnia „Oświata”,
Środa Śląska, ul. Białoskórnicza 2a
- Księgarnia Barbara Skrzyńska,
Brzeg Dolny, ul. Zwycięstwa 11

Wychodząc naprzeciw czytelnikom, wymienione księgarnie realizują także wysyłkową sprzedaż książek Mieczysława Gorzki. Dzięki temu po kolekcjonerskie wydania mogą sięgnąć nie tylko mieszkańcy Wrocławia i okolic, ale wszyscy zainteresowani jego baśniowymi opowieściami. Każdy zakup to nie tylko przyjemność obcowania z piękną wydawną książką, lecz także realne wsparcie dla stacjonarnych, kameralnych księgarń i osób, które je tworzą.

Paweł J. Sochacki

WSZYSTKIE STWORZENIA DUŻE I MAŁE

Gdy pomocy potrzebuje człowiek, przyjeżdża pogotowie ratunkowe lub policja. Gdy zostanie znalezione ranne zwierzę albo ktoś rozmyślnie je krzywdzi, do akcji wkracza Ekostraż.

W nowoczesnym społeczeństwie także te istoty, które nie mogą się poskarżyć, nie powinny pozostać bez fachowej pomocy. Rozmowa z Katarzyną Szakowską.



Jakie emocje najczęściej towarzyszą działaniom w ramach Ekostraży?

— Różne, naprawdę bardzo różne. Czasem smutek, gdy widzisz zwierzę, które całe życie spędziło głodne, w lęku. Czasem bezsilność, kiedy sąd nie karze sprawcy mimo dostatecznych dowodów. Bywa zwykle zmęczenie, gdy pracy jest po prostu wyjątkowo dużo. Ale są też momenty ogromnej radości i dumy.

Radość i duma – z czego?

— Z uratowanego zwierzęcia. Z tego, że udało się znaleźć mu nowy, dobry dom. Duma z wolontariuszy, którzy razem dokonują trudnych rzeczy, prowadzą akcje ratunkowe, nie poddają się. Z tego, że działamy transparentnie i nigdy nie

zostaliśmy oskarżeni o złamanie prawa. I z momentów, kiedy widać, że edukacja działa: dzieci zapamiętują i nie narażają potem zwierząt na krzywdę. Gdy nadstawem mówią rodzicom: „Nie, nie wolno rzucać chleba, pani z Ekostraży mówiła!” – to jest bardzo budujące.

Ile zwierząt rocznie przechodzi przez wasze ręce? Ile udaje się uratować?

— Rocznie przewijają się przez nasze schronisko około 1600 podopiecznych – to liczba zwierząt, nie samych interwencji. Prawie wszystkie zwierzęta domowe, które do nas trafiają, ostatecznie udaje się oddać do adopcji. Pojedyncze przypadki są jednak nieadopcyjne – wtedy zostają z nami na stałe.

A dzikie?

— Po odkarmieniu, leczeniu i rehabilitacji wracają na wolność. Jeśli należą do gatunków inwazyjnych, przekazujemy je do wyspecjalizowanych ośrodków – przykładowo szopy trafiają do Szopowiska. Niewiele dzikich zwierząt zostaje u nas na stałe – teraz są to między innymi para lisów z fermy i okaleczone jeże, które nie poradzą sobie na wolności, na przykład z powodu braku kończyny.

←

Katarzyna Szakowska
neurologopeda, inspektorka ds. ochrony zwierząt, w Ekostraży od 2013 roku, rzeczniczka prasowa oraz członkini zarządu stowarzyszenia
fot. archiwum prywatne

To ilu lokatorów macie zazwyczaj jednocześnie w siedzibie i ilu z nich zostaje na stałe? Czy umieszczacie też zwierzęta w tymczasowych rodzinach zastępczych?

— To się zmienia, ale zazwyczaj w azylu przebywa kilkadziesiąt psów i kotów oraz kilkaset dzikich zwierząt – głównie jeży. Domy tymczasowe są dla nas podstawą. Zależy nam, żeby nasi podopieczni mieszkali w warunkach domowych, więc jeśli tylko jest taka możliwość, korzystamy z niej. Obecnie mamy takich domów mniej więcej 50 – w większości przebywają w nich psy, ale w tym momencie też około 20 kotów.

A w przypadku jeży – skoro to one dominują wśród lokatorów – jak długo przebywają zwykle w azylu, zanim trafią z powrotem do środowiska naturalnego?

— Bywa różnie. Podczas wybudzania się jeży z hibernacji wiosną wypuszczamy te, które są już samodzielne. Później, aż do jesieni, uwalniamy kolejne

→ Siłą i podstawą działalności są wolontariusze, zarówno ci, którzy pomagają ratować zwierzęta od dekad, i ci, którzy pojawiają się choćby na jeden sezon

Od góry:

Anna Tez,

Łukasz Kondek,

Katsiaryna

Chabatarewskaya

osobniki – pod warunkiem, że ich wielkość i waga pozwalają im bezpiecznie się zahibernować. Oseski z wiosny jesienią zwykle osiągają odpowiednią wagę, by przejść w stan hibernacji. Natomiast jesienne sieroty są zbyt małe, aby mogły przetrwać zimę w naturze, i zimą umierają u nas. Inaczej wygląda sytuacja jeży po wypadkach, skoszeniach czy poparzeniach: tam wszystko zależy od czasu leczenia i rekonwalescencji, więc ich pobyt w azylu może być znacznie dłuższy.

Wspominałaś o sali sądowej.

Walcycie o prawa zwierząt na różnych poziomach – jak często wasze sprawy kończą się w sądzie?

— Tylko co piąta z zakładanych przez nas spraw trafia na wokandę, reszta jest niestety umarzana. Samych rozpraw odbywa się wiele – co roku między 50 a 100. Potrafią się one ciągnąć w nieskończoność. Zdarzało się, że sąd nie zdążył wydać orzeczenia w sprawie konkretnego zwierzęcia, bo ono w międzyczasie umarło. To jest strasznie frustrujące.

Gdybyś miała podsumować wasze działania, to jaka jest ich kolejność?

— Po pierwsze, interwencje – czyli reagowanie na zgłoszenia i realne wyciąganie zwierząt z sytuacji przemocy czy zaniedbania. Po drugie, adopcje – przygotowanie naszych podopiecznych do nowych domów i szukanie im opiekunów. Po trzecie, ratowanie dzikich zwierząt i przywracanie ich naturze. Bardzo ważne jest też upowszechnianie wiedzy: tworzymy materiały edukacyjne, broszury, prowadzimy zajęcia dla dzieci i dorosłych, robimy kampanie w mediach, spoty edukacyjne w MPK, organizujemy warsztaty. Do tego dochodzi lobbing na rzecz zmian w prawie: przygotowujemy raporty o sytuacji zwierząt, wysyłamy je do polityków, bierzemy





udział w pracach różnych ciał, na przykład Parlamentarnego Zespołu Przyjaciół Zwierząt.

Jak często odbywają się spotkania w parlamencie?

Co roku w Sejmie i Senacie ma miejsce Kongres Praw Zwierząt – uczestniczymy w nim regularnie. Dodatkowo pojawiają się lokalne inicjatywy, jak Dolnośląski Kongres Praw Zwierząt we Wrocławiu. Do tego dochodzi praca w Radzie ds. Zwierząt przy prezydencie miasta, więc kontakt z politykami i samorządem jest stały.

Jakie gatunki trafiają pod waszą opiekę?

Nasze miejsce – azyl – daje schronienie zwierzętom domowym: psom, kotom, królikom i innym, które zostały skrzywdzone przez człowieka. Prowadzimy też Ośrodek Rehabilitacji Dzikich Zwierząt. Tam trafiają głównie jeże, lisy, zające i ptaki niebezpieczne. Poszczególne gatunki wymagają różnych form pomocy: leczenia, rehabilitacji, socjalizacji, znalezienia nowego domu lub przywrócenia naturze. Zwierzęta potrzebują bezpiecznego schronienia, a obecnie azyl dosłownie się sypie.

Azyl się sypie?

Nie został stworzony z myślą o takiej liczbie podopiecznych i tak intensywnym użytkowaniu. Lokal otrzymaliśmy dzięki miastu w 2018 roku. Wtedy to była bardzo pozytywna zmiana – mogliśmy przenieść zwierzęta z dawnej lokalizacji, w której mieściło się ich tak mało, że wiele z nich mieszało po prostu w naszych domach. Po uzyskaniu lokalu wykonaliśmy rękami własnymi i wrocławian prowizoryczny remont. Dzięki temu mogliśmy w dalszym ciągu działać. W ubiegłym roku udało się wykupić

← →

Wolontariusze swoją ciężką pracą zapewniają ratowanym zwierzętom opiekę, ale aby mogli pracować w spokoju, potrzebna jest siedziba, w której będzie można dać zwierzętom odpocząć i wyzdrowieć

Po lewej (od góry):

Iga Kuczma,
Łukasz Mendyk,
Daria Glinka

Po prawej (od góry):

Marta Jastram,
Aleksandra Oślizło,
Gabriela Pidych

fot. archiwum prywatne

azyl na własność. Czujemy się bezpiecznie, wiedząc, że nikt nas nie przepędzi z Miłoszyckiej, jednak budynek jest ruiną. Mamy dziurawy, przeciekający dach, stare instalacje, zużyte boksy, grzyb, który regularnie usuwamy ze ścian. Zimą trudno utrzymać odpowiednią temperaturę, latem pomieszczenia się przegrzewają. Chcemy stworzyć warunki, na jakie zwierzęta z interwencji zasługują – bezpieczne, higieniczne i komfortowe.

Co dokładnie trzeba wyremontować?

■ Lista jest długa. Podzieliliśmy prace na kilka etapów, bo koszty są milionowe. Najpierw nowy dach, osuszenie i ocieplenie budynku. Nowa wentylacja. Potem remont w środku – wymiana schodów i przebudowa wnętrza. Zmian wymagają także pomieszczenia gospodarcze.

Jak można wam pomóc?

■ Najważniejsze są środki na remont – bez nich nie ruszymy ani o krok. Można nas wesprzeć darowizną, patronatem czy poprzez organizację zbiórki w firmie lub szkole. Potrzebujemy także wolontariuszy – rąk do pracy nigdy za wiele. Czasem wystarczy nawet udostępnienie informacji o naszych działaniach, abyśmy mogli dotrzeć do nowych osób o wielkich sercach. Mamy też listę rzeczy potrzebnych do pierwszego etapu remontu – pomogłyby one znacznie obniżyć jego koszt. Oczywiście z radością przyjmiemy prace budowlane w formie darowizny.

**WSZYSTKICH, KTÓRZY
CHCĄ POMÓC,
ZACHĘCAM DO KONTAKTU
POPRZECZ E-MAIL:
REMONT@EKOSTRAZ.PL**

Rozmawiał: Marcin Sawicz



GALERIA POJEDNANIA, CZEŚĆ DRUGA – OD TOTALITARYZMU DO WOLNOŚCI



Historia Wrocławia w XX wieku to opowieść o mieście, które musiało się zmierzyć z dwoma totalitaryzmami, a na końcu wywalczyć sobie miejsce w wolnym świecie. Od zrujnowanego Breslau, przez lata przemocy i cenzury, aż po czasy transformacji.

SPOD RYNNY NA DESZCZ

Po tragedii drugiej wojny światowej Wrocław – wtedy jeszcze w ruinie – został odebrany niemieckiemu totalitaryzmowi, by niemal natychmiast znaleźć się pod butem kolejnego systemu. Zamiast oddechu wolności pojawił się

nowy reżim – komunistyczny, który szybko podporządkował sobie miasto i cały region. Najbardziej dramatyczny był okres stalinizmu, zapamiętany jako „czarna noc stalinowska”. To wtedy w więzieniach, między innymi przy ulicy Kleczkowskiej, oraz w aresztach



śledczych dochodziło do pokazowych procesów, tortur i mordów. Wrocław, jeszcze niedźwignięty z ruin, stał się miejscem, gdzie nowa władza brutalnie „ustawiała” społeczeństwo.

MYŚŁOZBRODNIE

Kolejne dekady przyniosły zmianę form represji, ale nie ich istoty. Skala fizycznej przemocy zmalała, jednak reżim skupił się na kontrolowaniu umysłów. Priorytetem stała się wszechobecna cenzura, ograniczanie wolności słowa i systematyczne dławienie niezależnego myślenia.

JAK ŚPIEWAŁ JAN KRZYSZTOF KELUS, „MYŚLI BYŁY ZABIJANE JAK ZWIERZĘTA” – ZANIM ZDAŻYŁY ZAISTNIEĆ PUBLICZNIE, WYŁAPYWAŁ I UŚMIERÇAŁ JE APARAT PROPAGANDY I CENZURY.

W tym świecie przekaz oficjalny i to, co szeptało „po domach”, coraz bardziej się rozchodziły.

INTEGRACJA EUROPEJSKA

Równoległe właśnie wtedy pojawiały się postaci, które myślały o przyszłości inaczej niż partyjna elita. W latach 60. wrocławski biskup Bolesław Kominek kreślił wizję integracji europejskiej i pojednania ponad granicami – marzył o przełamaniu podziału żelaznej kurtyny i o Polsce jako części zjednoczonej Europy. Władza komunistyczna reagowała na takie idee ostrą krytyką, traktując je jako niebezpieczną herezję polityczną. A jednak właśnie te myśli – o pojednaniu, odpowiedzialności i miejscu Polski w Europie – z czasem staną się jednym z fundamentów późniejszej transformacji.

SIŁA OPORU

Lata 80. przynoszą w końcu długo oczekiwany zryw społeczny. Narasta niezadowolone, załamują się złudzenia co do „małej stabilizacji” Gierka, a robotnicy, inteligencja i studenci zaczynają mówić jednym głosem. W 1980 roku powstaje „Solidarność” – niezależny związek zawodowy, który w krótkim czasie staje się ruchem społecznym o niespotykanej skali. Miasto zaczyna być nazywane „Twierdzą Solidarności”.

Pierwsze porozumienia i nadzieje na zmiany brutalnie przerywa wprowadzenie stanu wojennego 13 grudnia 1981 roku. Do Wrocławia – jak w wiele innych miejsc – wjeżdża wojsko, opozycjoniści trafiają do więzień i ośrodków internowania, a „Solidarność” zostaje zdelegalizowana. Choć w zbiorowej pamięci lubimy wracać głównie do momentów zwycięstwa, trzeba pamiętać, że w tym czasie ginęli ludzie, łamało się życie, rodziny były rozdzielane. Mimo to podziemie wrocławskie nie składa broni: działają struktury „Solidarności”, rodzi się Solidarność Walcząca, powstają nielegalne drukarnie i radio, a miasto staje się jednym z najważniejszych ośrodków oporu.

KRASNOLUDKI

Symbolem wrocławskiego ducha sprzeciwu jest też Pomarańczowa Alternatywa – ruch, który łączył polityczny bunt z absurdem i ulicznym happeningiem. Krasnoludki malowane na ścianach, akcje na Świdnickiej, spektakle wyśmiewające propagandę – w ten sposób Wrocław pokazywał, że można walczyć z reżimem nie tylko powagą, ale i ironią.

Ostatecznie dzięki determinacji milionów ludzi w całym kraju – w tym wrocławian – komunizm zostaje pokonany różnymi metodami: od negocjacji Okrągłego Stołu, przez presję ulicy, aż

po międzynarodowe zmiany w Związku Radzieckim i krajach bloku wschodniego. Wrocław wychodzi z tej konfrontacji jako miasto głęboko naznaczone doświadczeniem oporu, ale też gotowe do budowania nowej rzeczywistości.

Historia Wrocławia w XX wieku domyka się więc symboliczną klamrą: od totalitaryzmu niemieckiego i sowieckiego, przez dekady przemocy i kontroli, aż po upragnioną wolność pod koniec wieku. To właśnie ona staje się impulsem do rozwoju i tworzenia nowoczesnego, otwartego miasta, w którym żyjemy dzisiaj.

dobór i opis zdjęć:
Bartosz Senderek

wprowadzenie:
Marcin Sawicz

Materiał powstał w ramach współpracy z Centrum Historii Zajezdnia z okazji Roku Pojednania 2025

Wszystkie zdjęcia pochodzą z archiwum Ośrodka Pamięć i Przyszłość

QR kody przy zdjęciach prowadzą do szczegółowych informacji na temat fotografii oraz do archiwum online



TU ZACZYNA SIĘ WROCŁAW

Jeśli interesuje Cię ta tematyka, koniecznie odwiedź Wystawę Główną „Wrocław 1945–2016” w Centrum Historii Zajezdnia

C.H. Zajezdnia
Wrocław ul. Grabiszyńska 184
<https://zajezdnia.org>

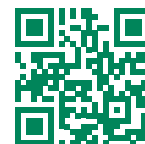


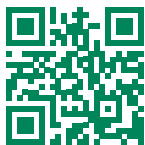
WALKA O WOLNOŚĆ NA ULICACH WROCŁAWIA

Obalenie komunizmu w Polsce nie było procesem ani szybkim, ani łatwym. Choć dziś najczęściej wspomina się rozmowy, porozumienia i podpisy pod historycznymi dokumentami, stanowiły one jedynie zwieńczenie długiej, często dramatycznej walki o wolność toczącej się latami – w zakładach pracy, na uczelniach, w prywatnych mieszkaniach i na

ulicach polskich miast. Zmiana ustroju oznaczała również realne straty, cierpienie i rany, także te fizyczne, które działacze opozycji demokratycznej ponosili, gdy z odwagą i determinacją stawiali naprzeciw uzbrojonych oddziałów milicji, nierzadko mając do dyspozycji jedynie własne ręce i solidarność innych protestujących. We Wrocławiu szczególnie zapamiętano masową demonstrację z 31 sierpnia 1982 roku, nazwaną później

„Bitwą Wrocławską”. Wzięło w niej udział 50–70 tysięcy osób chcących upamiętnić drugą rocznicę Porozumień Sierpniowych. Podczas brutalnej pacyfikacji protestu śmiertelnie postrzelony został Kazimierz Michalczyk, 27-letni tokarz z zakładów ELWRO – pierwsza ofiara stanu wojennego we Wrocławiu. Jego śmierć z rąk sił sprawujących władzę stała się symbolem ceny, jaką płacono za wolność i prawa obywatelskie.



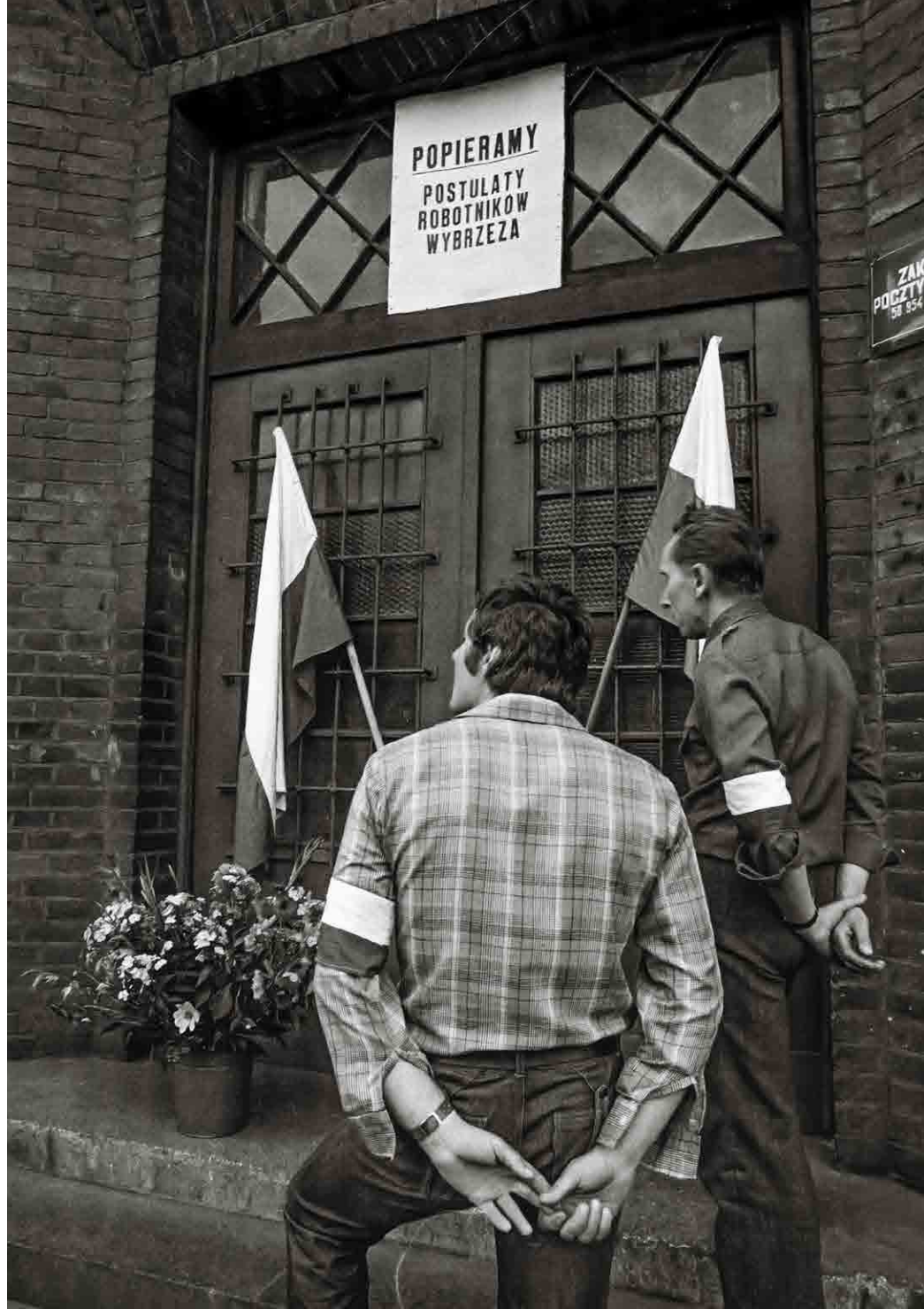


WROCŁAWIANIE PRZYŁĄCZYLI SIĘ DO WALKI Z KOMUNĄ

Wrocław i wrocławianie odegrali ważną rolę w historii „Solidarności” i przemian ustrojowych w Polsce. Zaraz po wydarzeniach w Trójmieście w sierpniu 1980 roku do strajków przyłączyli się pracownicy wielu wrocławskich zakładów. Miasto szybko stało się jednym z najaktywniejszych ośrodków opozycji w kraju – to tutaj rozwijały się struktury podziemnej „Solidarności”, działały drukarnie i kolportaż nielegalnych wydawnictw, a mieszkańcy wykazywali się ogromną odwagą i solidarnością z represjonowanymi. Po wprowadzeniu stanu wojennego w 1981 roku Wrocław był miejscem masowych demonstracji i akcji protestacyjnych. Dzięki determinacji robotników, studentów, inteligencji i duchowieństwa stał się symbolem walki o wolność i godność człowieka.

ZAJEZDZIA SYMBOLEM WALKI O WOLNĄ POLSKĘ

Gdańsk ma swoją Stocznnię, a Wrocław – Zajezdnię. Zajezdnia autobusowa przy ulicy Grabiszyńskiej to miejsce-symbol wrocławskiej „Solidarności” i walki o wolną Polskę w tym mieście. Pracownicy MPK Wrocław jako jedni z pierwszych przyłączyli się do strajkujących robotników z Wybrzeża, a brak autobusów na ulicach stolicy Dolnego Śląska dał mieszkańcom jasny sygnał, że miasto przystąpiło do strajków. Zajezdnia szybko stała się centrum oporu – miejscem spotkań, modlitw, negocjacji i organizacji strajków, które rozprzestrzeniły się na cały Wrocław. W okresie stanu wojennego była symbolem walki z reżimem, a po jego zakończeniu –



ośrodkiem pamięci i punktem spotkań byłych działaczy. Dziś w dawnej zajezdni mieści się Centrum Historii Zajezdnia

upamiętniające bohaterstwo wrocławian i ich wkład w obalenie komunizmu oraz pełniące funkcję integracji społecznej.

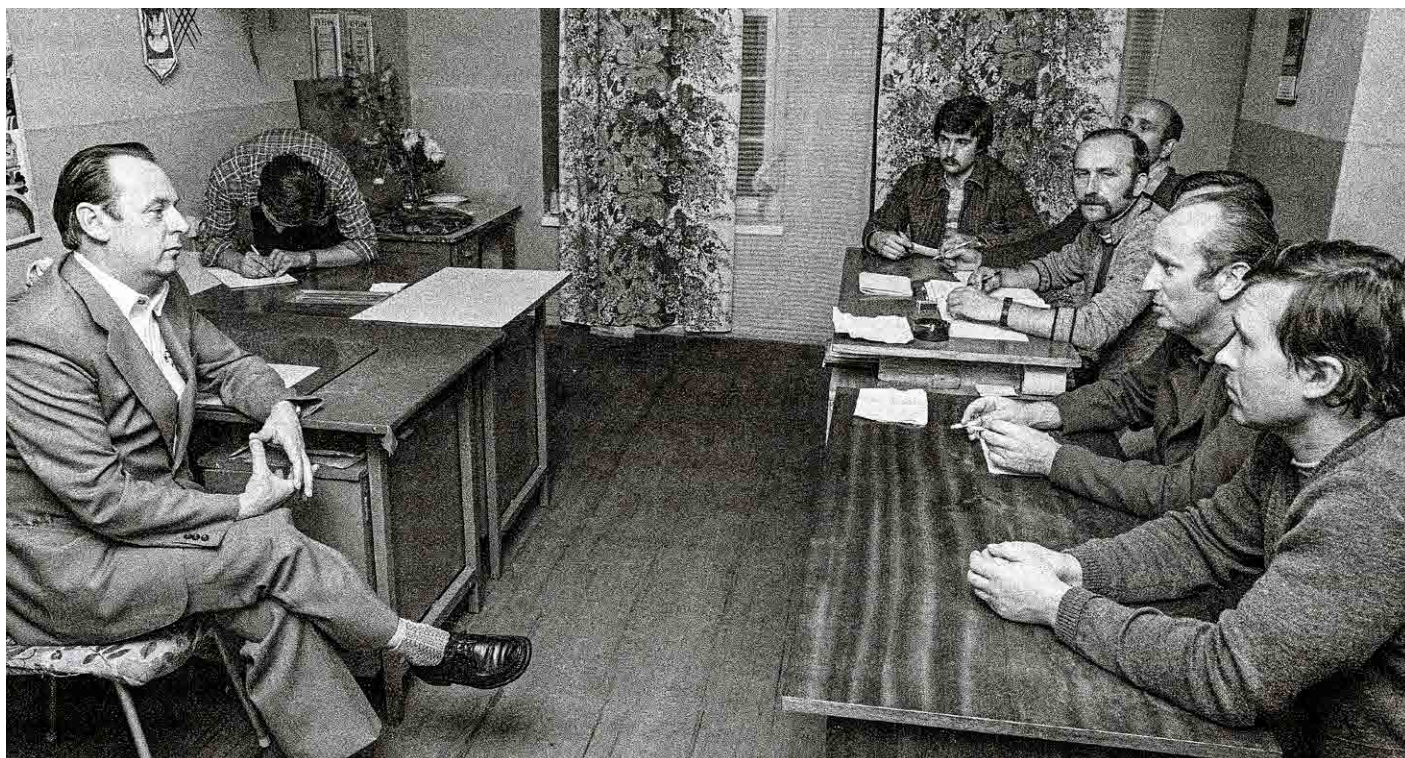


ROZMOWY Z WŁADZAMI

W 1980 roku masowe strajki i narastająca presja społeczna wymusiły na władzach PRL podjęcie rozmów ze strajkującymi robotnikami. Przedstawiciele administracji, tacy jak wojewodowie, przybywali do zakładów pracy, by spotkać się z prezydiami komitetów strajkowych

i wysłuchać ich postulatów. Tego typu negocjacje stanowiły okazję do bezpośredniej wymiany argumentów, rzadką w realiach państwa autorytarnego. Efekty rozmów okazały się znaczące dla historii kraju. Najważniejszym osiągnięciem Porozumień Sierpniowych było uznanie niezależnych związków

zawodowych, co stało się przełomem w całym bloku wschodnim. Choć wprowadzenie stanu wojennego przerwało dialog i zastąpiło go represjami, powrót do rozmów pod koniec dekady – w kontekście głębokiego kryzysu gospodarczego – stworzył fundament pod późniejsze obrady Okrągłego Stołu.



KOŚCIÓŁ WSPARŁ WALKĘ O WOLNOŚĆ

Kościół katolicki odegrał ważną rolę w sprzeciwie wobec komunizmu – był realnym wsparciem dla ludzi walczących z PRL. Obecność duchownych i msze święte w miejscach strajków stały się duchowym pokrzepieniem dla działaczy antykomunistycznych. Hierarchowie wspierali także opozycjonistów poprzez udzielanie im schronienia czy pomoc w różnego rodzaju akcjach. Jednym z ważniejszych wydarzeń ze stanu

wojennego we Wrocławiu, a na pewno najliczniejszym pod względem liczby biorących w nim udział osób, była msza święta odprawiona 21 czerwca 1983 roku na torze wyścigów konnych na Partynicach przez Jana Pawła II. Szacuje się, że mogło wziąć w niej udział nawet ponad 600 tysięcy osób – nie tylko mieszkańców miasta, ale też całego województwa. Wizyta papieża we Wrocławiu była jednym z kluczowych momentów jego drugiej pielgrzymki do Polski, odbywającej się w trudnym czasie stanu wojennego.

Choć władze komunistyczne próbowały nadać wydarzeniu wyłącznie religijny charakter i ograniczyć jego wymowę społeczną, spotkanie stało się manifestacją jedności, nadziei i duchowego oporu wobec władz PRL.

W swojej homilii Jan Paweł II mówił o godności ludzkiej pracy, prawie do wolności sumienia i potrzebie solidarności – słowach, które w tym kontekście brzmiały jak nieoficjalne, ale bardzo silne wsparcie dla zdelegalizowanego ruchu „Solidarność”.



ŚMIECHEM W REŻIM

Z komunizmem próbowano we Wrocławiu walczyć na różne sposoby – w drugiej połowie lat 80. Pomarańczowa Alternatywa robiła to śmiechem i absurdem. Był to ruch artystyczno-polityczny, który do oporu przeciw władzom PRL wprowadził groteskę i humor. Happeningi

grupy poprzez często niedorzeczne i budzące śmiech akcje rozbrajały rządzących równie skutecznie, jak tradycyjne protesty. Uczestnicy wygłaszali nonsensowne hasła, zakładali kolorowe stroje i przygotowywali zaskakujące transparenty. Do dziś jednym z najtrwalszych śladów działalności Pomarańczowej

Alternatywy są wrocławskie krasnale. Liczne małe pomniki, które obecnie stały się symbolem miasta i turystyczną atrakcją, nawiązują do ówczesnych tłumaczeń członków grupy przed milicją, że uderzające we władzę ludową graffiti czy transparenty zrobiły krasnoludki.



JEDYNA SŁUSZNA „PRAWDA” W MEDIACH

W okresie strajków „Solidarności” rynek medialny w Polsce był całkowicie kontrolowany przez państwo, a oficjalna prasa, radio i telewizja pełniły funkcję narzędzi propagandy, co wywoływało rosnący brak zaufania do przekazu legalnych mediów. Cenzura prewencyjna eliminowała informacje uznane za

niewygodne, dlatego strajki z 1980 roku przedstawiano w sposób wybiórczy, akcentując „zakłócenia w pracy” czy „nieporozumienia”, a pomijając rzeczywiste postulaty robotników. Media unikały pokazywania skali protestów i dynamiki rodzącego się ruchu, często opóźniając przekaz lub podając go w zniekształconej formie. Rzetelną informację czerpano przede wszystkim z niezależnych

źródeł: ulotek, biuletynów tworzonych przez komitety strajkowe, prasy drugiego obiegu oraz zachodnich rozgłośni, takich jak Radio Wolna Europa czy BBC, które przekazywały bieżące wiadomości z pominięciem cenzury. Dzięki temu społeczeństwo mogło konfrontować oficjalne komunikaty z niezależnymi relacjami i lepiej rozumieć skalę zachodzących zmian.





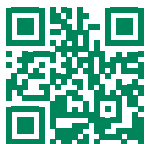
WIĘZNIENIE ZA POLITYKĘ

Walka o wolność okupiona była różnego rodzaju ryzykiem. Oznaczała ona nie tylko groźbę utraty pracy i majątku, lecz także internowania, brutalnych przesłuchań, częstych rewizji w domach oraz nękania rodzin przez służby bezpieczeństwa, co podkreślało skalę odwagi życiowej protestujących. Liderów opozycji demokratycznej wielokrotnie więziono za

działalność na rzecz zmian. We Wrocławiu do najbardziej znanych działaczy, których dotknęły represje, należeli między innymi: Władysław Frasyniuk – lider lokalnej „Solidarności”, Józef Pinior – współtwórca regionalnego podziemia, słynący z akcji wyprowadzenia 80 milionów z funduszy „Solidarności”, Mirosław Jasiński – organizator niezależnych inicjatyw młodzieżowych, Piotr Bednarz – wiceprzewodniczący dolnośląskiej

„Solidarności”, Zbigniew Bujak – lider podziemia, który ukrywał się na Dolnym Śląsku, oraz Jerzy Karwelis – najmłodszy z aresztowanych 13 grudnia. Region był także miejscem aktywności wielu mniej znanych, lecz niezwykle odważnych działaczy lokalnych, organizatorów podziemnej poligrafii, związkowców i studentów, którzy wspólnie tworzyli jeden z najprężniejszych ośrodków oporu w Polsce.





DODAWALI STRAJKUJĄCYM OTUCHY

Strajkujących wrocławskich robotników w zakładach pracy wspierała duchowo cała społeczność miasta. Na terenie zajezdni autobusowej przy ulicy Grabiszyńskiej regularnie pojawiali się artyści, którzy dodawali strajkującym otuchy i sił, organizując między innymi koncerty oraz krótkie happeningowe pokazy. Dla opozycjonistów szczególnie widoczne okazało się wsparcie ze strony muzyków Opery Wrocławskiej. Jednym z najbardziej pamiętnych wydarzeń stała się niezwykle uroczystość z 31 sierpnia 1980 roku, kiedy strajkujący mogli wysłuchać koncertu pod batutą ówczesnego dyrektora opery, Roberta Satanowskiego. Co ciekawe, Satanowski wcześniej był kojarzony z władzami komunistycznymi, co sprawiało, że jego obecność i udział w tym wydarzeniu nabrały dodatkowego znaczenia.



WSPARCIE STUDENTÓW

Swój udział w strajkach z okresu PRL mieli też młodzi Polacy. Istotną rolę w walce o wolność odegrały organizacje studenckie. We Wrocławiu szczególnie aktywna była Niezależna Federacja Studentów, która – często w konspiracji, bez formalnego zaplecza i mimo inwigilacji służb – organizowała spotkania informacyjne, kolportaż ulotek i zbiórki na rzecz rodzin strajkujących pracowników. Studenci często uczestniczyli w demonstracjach, tworzyli strażę obywatelskie podczas okupacji zakładów pracy i pomagali dokumentować wydarzenia, co później stało się cennym materiałem historycznym. Ich zaangażowanie pokazało, że „Solidarność” była nie tylko sprawą robotników, lecz całego społeczeństwa – w tym młodych ludzi pragnących budować nową Polskę, w której chcieli żyć.





BEZPIECZNE INWESTYCJE W ZŁOTO Z GOLDENMARK

Inwestowanie w złoto wymaga nie tylko wiedzy, ale też zaufanego partnera. Goldenmark, jako jeden z liderów branży, zapewnia Ci jedno i drugie. Jako podmiot wpisany do rejestru NBP zapewniamy pełną transparentność i bezpieczeństwo każdej transakcji.

Odwiedź jeden z naszych salonów, porozmawiaj z ekspertami i zapoznaj się z ofertą na miejscu. Służymy wiedzą i zapewnimy Ci wsparcie na każdym etapie inwestycji.

